



PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie.

We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych
po cenie rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60;
kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5, rocznie rsr. 10.

Wydawca **MICHAŁ GLÜCKSBERG.**

EXPEDYCYA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Królewska Nr. 5.

W Cesarstwie Austriackim we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta
kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80
W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent. 75 na pro-
wincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebera i Spół, kwartal. 5 marek

TROSKA O CHLEB POWSZEDNI.

przez

Floryana Łagowskiego.

(Dokończenie).

Nie będziemy wyliczali innych powodów, ale z narzekającymi połączymy się chętnie, choćby dlatego, aby przypominać bezustannie, ostrzegać pedagogów: „Nie grzeszcie przeciążaniem głów nauką“.

Stawiają też zarzut tym szkołom, iż one, nietylko nie sposobią do życia praktycznego, ale od niego odrywają; dziewczę wiejskie, oddane na sześć lub więcej lat nauki do miasta, odrywa się od rodziny, i to, co stanowi przyszłe jego życie, staje się dla niego obcem: pod kierunkiem matki nauczyłyby się gospodarstwa domowego, przywykłyby do niesienia pomocy rodzinie; tymczasem po kilku latach powraca, jakby cudzoziemka; często bez chęci, prawie zawsze bez umiejętności potrzebnej w podtrzymaniu bytu rodziny, a zawsze odwykła od życia otaczającego. Jeśli dotego, jest to córka rodziców niezamożnych, dzierżawcy, lub officjalisty np., to ani otoczenie domowe ani towarzystwo w domu bywające dla niej wystarczyć nie może, a ztąd wynika obopólne zrażenie się. Istota taka wykolejoną się niejako czuje. Być może, iż te zarzuty mają dużo w sobie prawdziwości, ale, za złe niepodobna szkoły obwiniać. Szkoła robi swoje: ma ona tyle trudności do pokonania, że na pozostawienie dziewczę

częcia w domu dłużej, niż się to dotychczas dzieje, na wprawianie go do zajęć gospodarczych—czasu więcej poświęcić nie może. To też dla rodziców uboższych, a do tego pragnących, aby córka ich w domowym gospodarstwie wcześniej się wydoskonaliła, albo zdobyła jakiś zawód rzemieślniczy, pozostaje jedyna rada, mianowicie: żeby na 4-eh klassach pensyj żeńskich poprzestawali, albo oddawali córki do t. z. szkół rzemieślniczych, w których i kształcenie umysłu jest uwzględnione. A takich szkół mamy już parę w Warszawie. Być może, iż ani jedna, ani druga rada nie zadowolni, że zadaniu pożądanemu odpowiedziałyby najlepiej typ jakiś inny, nakształt szkół realnych czy *wydziałowych*, wytwarzanie atoli nowych typów szkół leży poza obrębem inicjatywy prywatnej.

Mówiąc to, nie sądzimy przecież, aby sześcioklassowe lub siedmioklassowe szkoły żeńskie nie przynosiły pożytku realnego ubogim rodzinom: przeciwnie, mogą one, jak wszystkie szkoły wyższe, otworzyć pole szersze dla jednostek pragnących wzbić się ponad zwykłe warunki;—a jeśli jeszcze zgodzilibyśmy się, aby nasza córka poświęciła się zawodowi nauczycielskiemu, to, jakkolwiek nie kształcą one do tego zawodu, przecież przez szerszy zakres nauk dają już umysłowi ogólne przygotowanie. A nie trzeba tego zawodu lekceważyć, jako dającego byt materialny: pomimo niechęci, uprzedzeń—nauczycielstwo jest i długo, a może zawsze, będzie jednym z najkorzystniejszych zajęć dla kobiet.

Ostatecznie zatem tak zwane pensje wyższe, gdybyśmy ten tylko wzgląd mieli, że do nauczycielstwa sposobią, przez to samo już oddają wielką przysługę moralną społeczeństwu i zapewniają korzyści materialne swoim wychowanicom. A cóż dopiero, jeśli dodamy, że dają bardzo staranne wykształcenie przyszłym matkom rodzin, które dzisiaj już, mimo wstecznego kierunku, nietylko przyznane mają prawo do kształcenia się wyższe-

go, ale i w powołaniu swoim widocznie pożyteczną rozwijają działalność.

Pomiędzy zarzutami czynionymi szkołom wyższym, słyszymy często i te, że uczennice ich odznaczają się zbyt wielką pretensjonalnością, zarozumiałością, lekceważeniem rad starszych i t. p. Nie przeczynmy, że tak bywa; pragnęlibyśmy z całej duszy, aby i ślady wad tych zaginęły; ale źródła ich przecież nie podobna szukać w naukach tam wykładanych; źródła tych wad leżą może w zniżeniu się poziomu moralnego wogóle w czasach dzisiejszych, w poniewieraniu wielu najpiękniejszych zaletami dlatego, że są dawniejsze, krępujące, nakoniec w ogólnej dążności do szukania czegoś nowego, dotąd niepochwyconego. Winię tu więc należy ducha czasu, wreszcie osoby nauczające, nim przejęte, ale nie szkołę i jej urządzenie. Przyznając, że tego rodzaju wady zdarzają się dzisiaj — nie zaprzeczamy wcale, że i wiele nowych zalet widzimy, jak pewną energią, większą wytrwałość w pracy, nawet niekiedy objawy dodatniej samodzielności; niech nam jednak nikt nie bierze za złe, że i o wadach mówimy, bo pragniemy, aby kobiety matki jaśniały tylko cnotami, nowymi czy starami, byle nie raziły wadami, których żadna chronologiczność nigdy nie usprawiedliwi. Nie zaprzeczamy też i temu zarzutowi, że na nasze potrzeby społeczne zbyt wiele mamy szkół jednego typu, że inne, jak to wspominaliśmy, z kierunkiem bardziej realnym, czy praktycznym, byłyby nader pożądane; ale, powtarzamy, wytwarzanie nowych typów nie zależy od woli jednostek prywatnych.

Chociaż zatem przydałyby się i inne jeszcze typy szkół żeńskich, to i te, jakie mamy, przynoszą dobre usługi społeczeństwu, a bodaj tylko wiedza pedagogiczna rozwijała się u nas więcej, niż dotąd, o dodatnich wynikach ich pracy pedagogicznej nie potrzeba byłoby wątpić.

W powyższych uwagach, nie bawiąc się przypuszczeniami: jakby należało kierować wycho-

waniem młodzieży, gdybyśmy mieli rozliczne szkoły zawodowe, wzięliśmy za podstawę te typy, jakie mamy, i staraliśmy się wykazać, jakie z nich praktyczne korzyści możemy wyciągnąć. Doszliśmy do tego rezultatu, że szkoły klasyczne są dla tych, którzy, albo bez względu na korzyści materialne, do uniwersyteckiego wykształcenia dążą, albo parę specjalnych zawodów na względzie mają; realne zaś służą dla tych, co drogą przemysłu iść pragną.

Ponieważ zaś samodzielnie lub przez praktykę do różnych gałęzi przemysłu ma się młodzież nasza sposobie z powodu braku, jak dotąd, szkół zawodowych, to wzywamy ludzi doświadczonych, a pracujących w różnych zawodach przemysłu, wzywamy dyrektorów szkół specjalnych, takich, jakie obecnie już mamy, aby nie skąpili swych rad szczegółowych, iżby ojców rodzin uchronić od prób niefortunnych i rozjaśnić drogę postępowania.

Rad będę, jeśli swoim artykułem pobudzę w tej materii do zabierania głosu ludzi kompetentnych. Dyskusja nad kwestyą, której odłogiem zostawiać nie wolno, w każdym razie pożytek tylko umysłom przynieść może. Milczenie byłoby obojętnością.

Może niejeden, po przeczytaniu tego artykułu, zgorszy się, że na pierwszym względzie mamy tu troskę o byt materialny, — idealne zaś cele pomijamy. Tak, prawda, przyznajemy, że w tym artykule w taki sposób kwestyą postawiliśmy dla jasności rzeczy traktowanej; nie lekceważymy jednak owych idealnych celów w ogólnym wychowaniu i wykształceniu jednostki. Nie sądzimy przecież, aby szkoła realna mniej dbała o wychowanie moralnie, niż klasyczna, aby przez takie przedmioty, jak religia, historia i t. p. nie szczepiła podstaw moralnych. Zresztą pono tu nie tyle na szkołę, ile raczej na dom należy włożyć obowiązek czuwania nad moralną stroną młodzieży. Jeżeli też pragniemy, aby znaczna część młodzieży naszej poszła drogą praktyczną, to pragniemy także, aby jej przewodnicy, nietylko o wprawę w rzemiośle się troszczyli, ale aby i o pierwiastkach idealnych mieli starania. Ale nie sądzimy, iżby nam nie należało troszczyć się o zapewnianie bytu na przyszłość młodzieży, chociażby właśnie dlatego, aby mogła idealniejszym celem zadostę czynić. Z jednostek składa się społeczeństwo, a nie dają gwarancji szczęśliwego rozwoju społeczeństwa — rozczarowani, rozgorzyczeni, łaknący chleba jego członkowie. Dotykając „troski o chleb powszedni“, w każdym razie poruszyłem sprawę żywo obchodzącą, i ogół ludzi bezpośrednio interessowanych, jak rodzice i opiekunowie, i te sfery umysłowe, dla których sprawy ogólne obojętne nie są.

III.

Wspominaliśmy parę razy poprzednio, że inaczej wypadłoby stawiać kwestyą przyszłości naszej młodzieży, gdybyśmy mieli obfitość szkół zawodowych, aniżeli ją obecnie stawiamy.

Szkoły takie zawodowe same-by ciągnęły do siebie i kształciły przyszłych przemysłowców; one jedynie zdołałyby przełamać zwolna uprzedzenie tkwiące w nas do zajęć przemysłowych wskutek tego, że te zajęcia uszlachetniają się przez nauki w nich udzielane. Jesliby przytem nie nosiły nazwy „szkół rzemiosł“, ale np. „przemysłowych“ — ściągalyby coraz więcej adeptów. Poza uprzedzeniami są i racjonalne powody, dla których nasza młodzież stroni od praktykowania we wszelkich warsztatach, mianowicie — zbyt szorstkie, powiedzmy: grubijańskie z nią obchodzenie się; gdy tymczasem ćwiczenie się w rzemiosłach w szkole — odbywa się koniecznie zawsze z pewnym taktem pedagogicznym. Szkoły zawodowe z zakresem nauki wyższym zwabiałyby naszą ambitną młodzież tem więcej.

Ale cóż mówić o tem wszystkim, kiedy szkół takich mamy bardzo mało i dotego przystęp do nich utrudniony. Musimy więc szukać innych sposobów, jeśli nie chcemy się wy-

rzec myśli skierowania młodzieży w stronę przemysłu.

I zdaje mi się, że te sposoby są, chociaż niezawodnie mniej dogodne a dotego wymagające niejakich ofiar.

Nie myślę ja tu o zakładaniu takich szkół przez osoby prywatne, lub kosztem kassy gmin lub miast, bo nie sądzę, aby się znalazły indywiduala, któreby znaczny fundusz chciały i mogły na ryzyko, a może na ofiarę, narazić lub poświęcić; nie mam też nadziei, aby zbiorowe siły na to się zdecydowały u nas; nie wiem nawet, o ile to możliwym-by być mogło ze względu na uzyskanie koncessyi. Chociaż więc sądzę, że to byłoby najskuteczniejszym, pomijam, jako rzecz wymagającą zbyt wiele zachodu i może zatrudną. Zwrócę się zaś do sposobów, wymagających tylko dobrej woli jednostek. Nim jednak do tego przystąpię, zwrócę uwagę na różnice, jakie zachodzą między szkołami specjalnymi a ogólnymi.

Każda szkoła specjalna obejmuje w swoim programie trzy działy: ogólne kształcenie umysłowe, pewne nauki, przygotowujące do zawodu i zajęcia praktyczne, wyrabiające znajomość tego zawodu, oraz zręczność w pracy, jaka jest nieodzowną, jeśli to jest np. rzemiośle. Razem biorąc — kształci taka szkoła jednocześnie teoretycznie i praktycznie w danym zawodzie.

Jeśli weźmiemy pod uwagę rozkład czasu na teoretyczne kształcenie, to — na nauki ogólne, wspólne wszystkim szkołom, jak: nauka religii, języków, historia, geografia, matematyka, rysunki — poświęca się dwie trzecie czasu, — na nauki zaś specjalne, przygotowujące do zawodu — przeznaczyc więcej nie można, niż jedną trzecią, a nawet zwykle mniej czasu.

Jeżeli zatem weźmiemy szkołę ogólną, to przedstawi się nam ona w ten sposób, że nie będzie miała specjalnych nauk, zajęć praktycznych, oraz zajmować będzie młodzieży czas na przedmioty niepotrzebne w danym zawodzie, np. na języki starożytne. Tym sposobem uczniowie jej znacznie słabiej będą przygotowani do zawodu, ale mogą być więcej ogólnie rozwinięci umysłowo, bo znaczną część sił poświęcają na naukę, której specjaliści oddawać się w równym stopniu nie mogą. Przewaga atoli szkół zawodowych jest znaczną przedewszystkiem pod tym względem, że one kształcą w praktyce; jednak specjalne nauki się w nich wykładają, któreby uczniowie szkół ogólnych musieli oddzielnie studyować.

Jeżeli byśmy zatem chcieli zdążyć do swoich celów bez szkół zawodowych, to wypada, jeśli młodzieniec ze szkoły ogólnej przechodzi wprost do praktycznych zajęć w jakiejś fabryce lub warsztacie — douczyć go tych nauk, które do zawodu sposobią. Znaczy to pod względem czasu, że owe jedną trzecią, poświęcaną w szkołach specjalnych na przygotowawcze nauki — musiałby własnymi siłami dopełnić.

Ale, czyż to zbyt trudne? Wątpimy: zdobyć pewne wiadomości z chemii, czy innej z nauk przyrodzonych, technicznego rysunku, czy rachunkowości — można. Ale odkogo? Wszak nie każdy jest o tyle zamożnym, aby od specjalistów brał lekcyje, a jeśli fabryka np. znajduje się na wsi — to już na pozór niepodobna. Tak — ale tylko na pozór, bo przecież każda fabryka ma swoich specjalistów — i ci, mimo to, że nie są pedagogami z zawodu, powinni by stać się nimi z poczucia obywatelskiego i uczyć praktykantów tego, czego nie umieją. A jeśli — dla jakichkolwiek przyczyn — stać-by się to nie mogło, to przecież i samouctwo coś znaczy, tem więcej, że mówimy tu o ludziach, którzy już pewne szkoły kończyli, umieją więc radzić sobie z książką. Być może, iż i książek podobnych jeszcze niema, to i o to przecież niezbyt trudno: tłómaczenia, a nawet oryginalne podręczniki, miałby kto u nas przygotować.

To też sądzę, że każda fabryka, instytucja handlowa czy większe gospodarstwo rolne, powinny przyjąć na siebie ten wielki, a tak wdzięczny obywatelski obowiązek i przysposabiać pewną liczbę praktykantów tak teoretycznie, jak i praktycznie wyrobionych.

Tensam obowiązek przypisałibyśmy i wszelkim warsztatom, a żądalibyśmy od właścicieli ich i kierowników, aby zastosowali obchodzenie się

z młodzieżą do jej wychowania. Jeśli też chcą spełnić ten czyn obywatelski, to wyrzec się muszą dotychczasowych zasad, iż praktykant powinien znieść wszelkie upokorzenia i ciężary. Nawet w normalnych warunkach wiele-by takim zasądom zarzucić można, a cóż dopiero — jeśli nam idzie o pociągnięcie młodzieży wykształcenijszej i lepiej wychowanej do przemysłu! Tu należy stać się pedagogiem czy nawet lekarzem i postępowanie stosować do sił fizycznych i moralnych wychowanka. Wszak, panowie przemysłowcy, praca uczonego, i lekarza i pedagoga — bardzo ciężka, może cięższa, niż wasza: a przecież sposobiacz waszych synów do różnych zawodów za pomocą udzielania im nauk w szkołach i uniwersytetach pedagogia nie zaleca wcale znęcania się nad nimi; dlaczegoż wy się macie znęcać nad młodzieżą sfer innych, nienawykłych do zajęć, jakie ją w przyszłości czekają? Przygotowując ją do tego, łamcie uprzedzenia, ale bierzcie się do dzieła umiejętnie, z taktem i godnością. Wtedy dopiero spełnicie wasze obywatelskie zadanie.

Odpowiecie może, iż tacy panice nie przydadzą się w rzemiośle. Owszem — przydadzą się zdaniem mojem: pomalutko do pracy się wciągną, a wytworzą stan dobrze wychowanych, inteligentnych, z dobrym smakiem rzemieślników, którzy uszlachetnią i podniosą u nas rzemiosła. Podobnie nieopisane korzyści tacy ludzie przyniosą w różnych zawodach fabrycznych, handlowych, gospodarczych.

Przedewszystkiem atoli wytworzycie panowie stan trzeci z miejscowego żywiołu. To od was zależy, w waszych rękach spoczywa.

Zwrócę tu jeszcze uwagę i na tę okoliczność, że przypatrzysz się dobrze planom nauk różnych szkół specjalnych — dostrzeżemy, iż różnią się one w pewnych przedmiotach, ale wiele mają wspólnych, a wskutek tego przechodzenie od jednego zawodu do drugiego, po ukończeniu tych szkół, nie jest znowu murem chińskim zagrodzone.

Powtarzam, iż niema potrzeby szukać wszelkich podobnych ścieżek do kawałka chleba prowadzących, gdzie jest obfitość i różnorodność szkół zawodowych, ale gdzie ich brak — tam radzić sobie rozmaicie należy. Nie myślę upierać się, że i te myśli poruszone przezemnie nie wywołają zarzutów; to też przedstawiam je do rozpatrzenia specjalistom, w nadziei, że kwestye te warte są roztrząsania.

POGA WĘDKA.

Zwykle o tej porze nadchodzą Hiobowe wieści z rozmaitych stron o pożarach, które obracają w perzynę mienie ludzkie, zdzierają dach nad głowy biednych ludzi i krwawą ich pracę niszczą bezlitośnie.

Są pewne nieszczęścia, których przy największych usiłowaniach, przy największej ostrożności odwrócić całkowicie niepodobna, ale można je umniejszyć i ograniczyć; do takich należy prawdziwa klęska pożarów, przesładująca nas co roku chyba więcej, aniżeli gdziekolwiek, a dzieje się to w znacznej części z naszej własnej winy.

Lekceważenie niebezpieczeństwa mści się potem srogo na wiernych i niewinnych.

Co roku rzuca się tensam groch na ścianę, przestrzegając, namawiając, radząc, aby po miastach prowincjonalnych, po wszystkich osadach i gminach wiejskich, więcej dbano o środki bezpieczeństwa i ratunku na wypadek pożaru, aby zakładano straże ogniowe, zakupywano narzędzia i przyrządy do gaszenia ognia, których brak zwykle w ostatniej chwili okazuje się fatalnym i niezapobiegawczym.

Mówi się o tem i pisze, ale słowo, jak plewa, z wiatrem leci, druk idzie na makulaturę i dopiero, gdy czerwony kogut spadnie na dach nad głową nieopatrznych, wtedy powstaje lament,

plyną łyzy, skargi, narzekania i prośba o zapomogę.

Zawsze jedno i to samo...

Kto kiedykolwiek był świadkiem pożaru na prowincji w małym miasteczku, a zwłaszcza na wsi, — ten musiał zauważyć, że największym niebezpieczeństwem nie bywa tyle sam rozszalały żywioł, ile niezradność ludzka, brak dobrze zorganizowanej pomocy, sikawek, wody, bosaków i jakiegoś energicznego, doświadczonego kierownika, któryby ujął dowództwo w tej walce z płomieniami.

Skoro się zna złe, byłoby najłatwiej je naprawić tymczasem bardzo mało staramy się o to, i nie naprawiamy złego, choć ono się nam uparcie przypomina.

Do uwag powyższych, skłonił mnie świeżo pożar Jedlińska w Guberni Radomskiej.

Ze stariej, ale względnie zamożnej miejsciny, pozostały dziś zgliszczą, wśród ruin sterczą tylko okopcone kominy; przeszło tysiąc ludzi pozostało bez dachu i mienia, łaknących chleba, odartych i w nędzę popchniętych.

Ogień podłożyła czyjaś zbrodnicza ręka wśród mieściu samem, o południu, podczas, gdy z kościoła parafialnego wychodziła processya przed sumną. Na okrzyk: „gore!“ wszyscy rzucili się ku swoim domom w największym popłochu.

Rozkielzany żywioł z taką szybkością się rozpanoszył, iż w przeciągu piętnastu minut kilkadziesiąt domów stało już w płomieniach, a niespełna w ciągu godziny, całe miasteczko było spustoszone.

Trzask płomieni i walących się zabudowań, był tak silnym, jak grzmot, a fale ognia huczały, jak spienione morze.

Drewniane domki płonęły, jak garście siana, na ulicach piekielny żar panował i utrudniał dostęp, a wynoszone meble, sprzęty i dobytek — zajmowały się od gorąca.

Ogień nie wypuścił żadnej ofiary.

Ogółem spłonęło 97 domów z zabudowaniami i kresencją, zapasami żywności i towarami. Straty w samych zabudowaniach i ruchomościach, dosięgają 200,000 rs.

Assekuracja zwróci za ledwie piątą część tego z winy samych właścicieli, którzy bardzo nisko ubezpieczali swe domy.

Jako dowód lekkomyślności, przytaczają, że niektórzy właściciele hipoteki swe warte 1.000 lub 2.000 rs., ubezpieczali za ledwie na kilkadziesiąt, a kilka nowych i pięknych domów w miasteczku nie było wcale assekurowanych.

I to powtarza się tak często, i ta opieszałość niejednokrotnie była już karana, a jednak coraz nowe zdarzają się jej dowody.

Jedlińsk ma swoją przeszłość, pamięta bowiem, jako miasto, początek XVI-go wieku; w 1665 r. spalili go Szwedzi. W owym czasie istniało tam już siedlisko Aryanów, którzy zajęli całe miasto, mieli swą szkołę, wystawili murowane domy i przez lat siedm dziesiąt gospodarowali. W r. 1630 utworzono nanowo parafię katolicką i za staraniem kasztelana brzezińskiego, Stanisława z Popowa Wilońskiego, założono w budynkach porańskich liceum pod dozorem Akademii Krakowskiej.

Przed pięćdziesięciu laty spalił się także, ale od owego czasu zaczął się budować porządniej, ludność się w nim zwiększyła, przemysł się ożywił, a głównie szewctwo, kuśnierstwo i rzeźnictwo się rozwinęło.

Pracowite, rządne i zasobne miasteczko poszło z dymem...

Redakcja *Gazety Radomskiej* zajęła się dostarczeniem pogorzelcom pierwszej, niezbędnej pomocy, ale... kropla wody w morzu płomieni zniknie bez śladu, jeżeli miłosierdzie i ofiarność ogółu nie pośpieszą z pomocą.

Los, jakby się urągał nędzy i biedzie, jeszcze bardziej ją takimi klęskami pomnaża...

W zeszłym tygodniu zdarzył się wstrząsający wypadek nad Wisłą od strony Pragi. Niejaki K. były ofycjalista prywatny usiłował popełnić samobójstwo wraz z czteroletnią swoją córeczką.

Tulać płaczącą dziecinę do piersi, wskoczył z nią do rzeki w jasny dzień.

Flisacy z tratw stojących w pobliżu zauważyli to i pośpieszyli na ratunek.

Ojca i dziecko wydobyto szczęśliwie z toni i wrócono do przytomności.

Przyznał się, iż do rozpaczliwego kroku skłoniła go nędza całej rodziny, której nie ma z czego utrzymać, pozostając dłuższy czas bez zajęcia.

Nazwisko jego Alexander Kazieński, adres: Długa 24.

Zapisuję to dla wiadomości serc litościwych, któreby chciały nie-zczęśliwego człowieka wspomóc i uratować od rozpacz, co bywa gorszą od śmierci...

Przed kilkoma tygodniami pozwoliłem sobie zrobić nader śmiało i ryzykowne porównanie między dobroczynnością naszą, którą uważamy sami za wzorową i doskonałą, a dobroczynnością zagraniczną. Boże drogi, ileż jeszcze do zrobienia pozostaje, aby podobne wypadki, jak powyższy, nie powtarzały się u nas, aby od głodowej śmierci można było ratować nędzarzy, a obłąkani nie musieli się tulać po ulicach bez przytułku!...

Ta ostatnia sprawa wchodzi znowu na porządek dzienny w miarę, jak budowa dużego szpitala dla waryatów w Tworkach zbliża się ku końcowi, a o budowie drugiego takiego zakładu dla starozakonnych mówić się zaczyna, jednocześnie słyhać o projekcie podatku na instytucje tego rodzaju i o urzędzeniu szpitala Jana Bożego dla 200 przynajmniej chorych umysłowo, którzy nie będą mieli środków leczenia się na własny koszt.

Bardzo to ważna sprawa, wyczekująca od dawna pomyślniejszego rozwiązania; nigdzie chyba w Europie tak wielu obłąkanych nie snuje się bez wszelkiego dozoru po bruku miejskim, jak w Warszawie, z tej prostej przyczyny, że nie starczy funduszków na ich leczenie i utrzymanie w zakładach publicznych.

W ostatnich czasach w ogóle zaczęto jakoś żywiej zajmować się sprawami, które przynajmniej zgrubsza powinny być prowadzone *pro bono publico*.

Nad zdrowotnością i jej pomocnikami środkami w Warszawie byłoby jeszcze długo co rozprawić; projektów nie brak, tylko jak to zwykle u nas bywa, każdy projekt jest jednocześnie łamigłówką, nad którą ludzie bystrego umysłu ślęczą czas jakiś, a nie znalazłszy środka rozwiązania, zniechęcają się i przechodzą do... porządku dziennego.

Przed kilku laty próbowano urządzić nocną opiekę i poradę lekarską w nagłych wypadkach: chodziło o to, aby zwerbować pewną ilość lekarzy, którzyby się zobowiązali do stałych dyżurów i byli gotowi w nocy nieść pomoc chorym ubogim bez żądania od nich wynagrodzenia.

Każdy stójkowy na żądanie wskazałby adres najbliższej mieszkającego lekarza, w razie potrzeby odwiózłby chorego sam do niego, — opłatę dorożki i doktora ponosiłaby kassa miejska.

W przybliżeniu obciążałoby to jej fundusze na kilka tysięcy rubli rocznie; przed kilku laty projekt ten dla tych właśnie kosztów nie mógł przyjść do skutku, obecnie wznowiła go *Medycyna*, być może iż w pomyślniejszą porę.

Dano też początkowanie sprawie zamianowania lekarzy cechowych.

„Ten, kto wie — powiada *Kuryer Codzienny* — jak nasz rzemieślnik i wyrobnik leka się szpitala, jak od niego ucieka, ten zrozumie, ile nowa instytucja oddać może ważnych usług, gdy każdy z członków zgromadzenia będzie miał poradę lekarską darmo, a nadto, jak jest zamierzonym: lekarstwo po cenie wielce niższej. Inicytywę w tym względzie dał cech krawiecki, za nim podążyło zgromadzenie drukarzy. Naturalnie, iż rzecz cała nie wyszła jeszcze z dziedziny projektów“...

Nie wyszła, ale wyjść powinna na drogę urzędowania, bo ma ważne, praktyczne znaczenie i zasługuje na wszelkie poparcie, gdzie należy.

Rzemieślnik nasz miewa dwie straszne zmory, które go zgnębić mogą: brak roboty i choroba.

Pierwsza nawet bywa mniej groźną od drugiej, bo ta druga odbiera siły do pracy, zniechęca, do rozpacz doprowadza i wyniszcza podwój-

nie, moralnie i materialnie. Ile zaś znaczy rychła i skuteczna pomoc w chorobie, nie potrzeba nikomu tłumaczyć; sama obecność lekarza przy łóżku chorego wlewa jakąś zbawienną otuchę a jego pomoc ukróca złe i usuwa niebezpieczeństwo, które rośnie z każdą zaniedbaną i straconą chwilą.

Kuryer robi słuszną uwagę, opartą na doświadczeniu lekarzy fabrycznych, aby nie tylko sami rzemieślnicy, należący do cechu, ale zwłaszcza ich żony i dzieci, znacznie częściej chorujące, mogły korzystać z porady przyszłych lekarzy cechowych.

Dobra myśl się urodziła w kilku rozważniejszych i zabiegliwych głowach: niechże nie zmarnieje w samym zastawie; tylko, że to z naszymi cechami sprawa bywa trudną. Z dziwnym uporem i uprzedzeniem zwykły one przyjmować każdą nowość i namyślać się nad nią zbyt długo, zanim zdecydują się nareszcie zastosować ją w praktyce.

Zacofanie i zaskorupienie się w rutynie bywa wadą zbyt głęboko jeszcze u nas zakorzenioną.

Weale nie budujący przykład takiego zacofania dało świeżo Towarzystwo Wioślarskie.

Po pamiętnej katastrofie, którą życiem przypłaciło pięciu młodych ludzi na Wiśle, komitet Towarzystwa, dla większego bezpieczeństwa członków powziął bezpośrednio pewne uchwały, obstrzające zbyt dowolne korzystanie z flotyli wioślarskiej na przystani.

Między innymi warunkami postanowił, aby żadna łódź bez sternika i wykwalifikowanych wioślarzy nie wypływała na szersze fale Wisły, co było przezornością, niestety, najzupełniej umotywowaną nieszczęsnymi wypadkami.

Cała prasa przyklasnęła tym postanowieniom i nie mogło być inaczej; znalazła się jednak opozycja, która dostrzegła w tem zamach na prawo i swobody członków, zanadto ścieśnione podobnym obostrzeniem. Dalejże agitować, podmawiać, rozdmuchiwać oburzenie na komitet i sejmikować najniepotrzebniej w czasie, w którym można owiele korzystniej używać wodnego sportu, niż spierać się z komitetem.

Zwołano nadzwyczajne walne zebranie, na którym dużo języków się zmachało, dużo słów na wiatr rzucono, dużo złośliwych wycieczek przeciw prassie zrobiono i do godziny trzeciej nad ranem rozprawiano o potrzebie zniesienia uchwały komitetu.

Agitacja odniosła zwycięstwo, bo chodziło jej chyba więcej o pogwałcenie zarządu, niż o samą istotę rzeczy.

Obalono tedy wszystkie obostrzenia i przywrócono dawniejszy porządek nie bardzo porządnym; komitet wraz z prezesem swoim Józefem hr. Kraśińskim ustąpił po takiej uchwale nadzwyczajnego zgromadzenia, uważając je za swojego rodzaju *votum* nieufności.

Rozpisano nowe wybory i w tym tygodniu nowy zarząd stanął u steru na miejsce ustępującego.

Nie powiem, aby ten zaszczyt stanowił w podobnych warunkach coś takiego, o coby się bardzo ubijać warto, skoro znów na najbliższym nadzwyczajnym zgromadzeniu cisami wyborcy, którzy swoje głosy nowym mężom zaufania oddali, mogą je tak samo cofnąć po jakichś rozporządzeniu, które im do smaku nie przypadnie.

Jeżeli na to powierza się godności prezesa i komitetowych ludzi poważnym i doświadczonym, aby byli tylko manekinami i obracali się za głosem tego lub owego stronnictwa w danej chwili: to możeby lepiej było nie wybierać weale stałego zarządu, tylko dobierać sobie oportunistycznie za każdym razem powolnych wykonawców według swojego widzimisię.

Jakkolwiek znaleźć się może znowu jakiś cięty mówca, który wystąpi przeciw dziennikarstwu i potępi jego działalność w sprawach Towarzystwa wioślarskiego, nie waham się stanąć po stronie tych kolegów swoich, co postępowanie opozycji skarcili i komitetowi słusność oddali.

Na to dziennikarstwo nasze, niestety, jak na pochyle drzewo, lada koza uważa sobie za obowiązek skakać, gdy chodzi o jego potępienie, ale gdy zachodzi potrzeba poparcia — niema ni-

kogo w pierwszych rzędach, a przynajmniej bardzo znaczna mniejszość.

Liczyby pouczają i stanowią najlepszy dowód; przyjrzyjmy się statystyce naszych dzienników, tygodników i miesięczników, wychodzących w Warszawie; podstawą do tego przybliżonego obliczenia prenumeraty i poczytności naszych pism peryodycznych może być wykaz pocztowy. Z tego wykazu wiemy, że dziesięć dzienników, wydawanych codziennie, a zatem „Kuryerów“ i „Gazet“, wysłała pocztą 21.523 egzemplarzy, czyli przeciętno na jedno pismo wypada nieco więcej nad 20.000 prenumeratorów.

W rzeczywistości zaś tylko *Kuryer Warszawski*, *Codzienny* i *Słowo* przewyższają w tym względzie sumę 3.000; natomiast znajdują się takie między pozostałymi, które jednego tysiąca nie dosięgają.

Gorzej przedstawia się stan tygodników i miesięczników, których jest dwadzieścia sześć; ogółem na prowincję za pośrednictwem biura pocztowego rozchodzi się tych organów prasy 21.935 egzemplarzy, to znaczy przeciętno wypada 800 na każde.

Faktycznie tylko jedno pismo tygodniowe, a mianowicie *Gazeta Świąteczna* może się poszczycić 3.000-mi z górą prenumeratorów prowincjonalnych, a tylko cztery wysyłają po 2.000.

Piętnaście innych nie może zdobyć się na większą liczbę, niż 500.

Rozumie się, że nie stanowi to ogólnej ilości prenumeratorów, gdyż wiele egzemplarzy rozchodzi się za pośrednictwem księgarni i agencji, niektóre wysyłane są osobno za osobnym ofrankowaniem; jednak z praktyki wydawniczej przypuścić można, że chyba Warszawa wysłała na prowincję ogółem nie więcej, nad 60.000 egzemplarzy czasopism; dodajmy do tego kilka tysięcy egzemplarzy dzienników wychodzących na prowincyi, a otrzymamy w przybliżeniu całkowitą ilość prenumeratorów prowincjonalnych, dbających o rozwój naszej prasy.

Sześćdziesiąt tysięcy egzemplarzy na prowincyi, drugie tyle w Warszawie, oto cały stan czynny dziennikarstwa w Królestwie; przynajmniej, iż to kaducznie mało w porównaniu z innymi, oświeconymi społeczeństwami zagranicą.

Jeden tylko *Petit Journal* w Paryżu, piśmko brukowe, zapełniane wiadomostkami, które głównie samą stolicę obchodzić mogą, liczy dziesięć razy więcej prenumeratorów, niż cała nasza prasa razem wzięta.

Dziesięć razy!.. proszę uważać.

A teraz zapytamy: jakie tłumy nas czytają, skoro tak mało prenumeruje.

Przypuściwszy znowu, iż każdy egzemplarz dziennika, tygodnika i miesięcznika przechodzi aż przez pięć rąk, okaże się, że na 120.000 prenumeratorów mamy nieco więcej niż pół miliona czytelników.

Jakiż-to mały procent ciekawych umysłów!.. O inteligencyo! czemu ty swój codzienny głód zaspakajasz, jeśli nawet tej szczupłej dziennikarskiej strawy nie spożywasz?..

Ach, prawda, ty żyjesz krytyką; o pismach brukowych mówisz, że są zamało pożywne, za lekkie, za puste; o politycznych gazetach, że są za nudne i jednostajne, o tygodnikach, że nic w nich niema, i że nie mogą iść w porównanie z zagranicznymi, których również nie widzisz; o miesięcznikach wreszcie głośisz, że są za ciężkie, i dla tego ich czytać nie możesz.

I w ten sposób w czambuł ganisz całą prasę, aby tylko obronić się przed... wydatkiem na prenumeratę i obowiązkiem czytania.

To rozleniwienie umysłowe sięga nawet tak daleko, że nietylko sama czytać nie chcesz, ale nawet i słuchać ci ciężko, gdy inni dla ciebie czytają. Dowodem pustki w salach prelekcyjnych. O inteligencyo!..

Pomimo tych wcale niezachęcających doświadczeń z ostatnich czasów, pewne grono odważnych i niezrażonych powzięło projekt urządzenia w ziemie szeregu odczytów z dziedziny krajoznawstwa. Każdy prelegent ma skreślić w swoim odczycie obraz pewnej okolicy kraju, pod względem topograficznym, historycznym, etnograficznym, przemysłowym, handlowym i t. d.

W takiej pisanej panoramie mogą się przesunąć przed... uszami słuchaczy wszystkie gubernie po kolei, a całość utworzona zbiorowemi siłami mogłaby być bardzo zajmującą i pouczającą dla szerszego grona publiczności.

Dochód z odczytów ma być przeznaczony dla podrzutek, o których po głósnej sprawie Skublińskiej w Warszawie a Noskinowej w Wilnie, ucichło znowu tak, jakgdyby pozlatywały nagle z nieba same anioły i pozabierały wszystkie opuszczone dziatki do siebie „na garnuszek“.

Tymczasem wypłynęła na wierzch inna kwestya dziecięca, którą przed kilkoma tygodniami za mało, niestety, czytany u nas „Przegląd pedagogiczny“ poruszył, — a mianowicie kwestya zabaw dzieciennych.

Nie uważaliście zapewne, że nasze dzieci we właściwy dla siebie sposób i w odpowiednich warunkach nie mają się gdzie bawić w Warszawie; w innych krajach od dawna zwrócono na to uwagę i urządzono w każdym ludniejszym mieście osobne ogródki, skwery, teatryki z marynetkami i t. p. miejsca wspólnych zabaw dla maluczkich, gdzieby mogli korzystać ze świeżego powietrza, ze swobody ruchów, spędzać czas zajmująco i pożytecznie, zarówno pod względem moralnym, jak i higienicznym.

W Warszawie wyprowadza się nasze pociechy na ulicę, jeżeli blisko, to do Saskiego Ogrodu, jeśli dalej, to w Aleje lub do Botaniki, od czasu do czasu sprawnia się im wielki bal w Ogrodzie Zoologicznym między dzikimi zwierzętami i — koniec.

A jednak godziłoby się pomyśleć o tem, aby dla dziatek naszych przybyło trochę więcej dostępnego miejsca wśród drzew, zieleni, pod gołym niebem, gdzie, nie przeszkadzając starszym, znalazłyby dla siebie odpowiednią zabawę i towarzystwo.

Komitet opieki nad plantacyami myśli wprawdzie o tem, ale od myśli do czynu, tak daleko bywa, jak od... wiśniowej pestki do konfitur.

Quis.

WALKA TYTANÓW

przez

J. Nitowskiego.

(Ciąg dalszy).

Chór Oceanid.

Patrzcie! Wre morze, drży skalny szczyt!

O biada nam!
Pocóż żyjemy,
Gdy wieczny kłam,
Lub protest niemy
Udziałem świata tego?

Ziemia.

Lubo mi, błogo, jak w dniu narodzenia,
Gdym poraz pierwszy z Chaosu łona
Ujrzała Nieba błękity!

Chór Oceanid

Ach, jakim blaskiem Ziemia otoczona,
Jaki tęczyw nimb ją opromienia!
Tak czasem w letni poranek
Heliosa blaski złocą skał szczyty.

Ziemia.

Na męki, córy; na życia boje!

(Znikają.)

(*Dolina Tempejska. — Ziemia i Tytanowie.*)

Ziemia.

O dzieci moje!
Daję wam matki błogosławieństwo
Na nowe boje,
Na nowe waszych myśli męczeństwo.
Jakikolwiek koniec będzie
Waszych zapasów z tyranem:
Czy stopy swoje o światów krawędzie
Oprzeć zdołają tytani,
Czy z sercem gromem Zeusa poszarpanem
Znikną w Tartaru otchłani —
Ja, ziemia, ja, wszechrodzica,
Spokojnie będę patrzyła
W przeszłości lica.

Hyperyon.

Pod skrzydła twoje, o matko, pod skrzydła,
Od cierpień i bólów zdala;
Nim zniknie walki larwa obrzydła,
Nim przepłynie nieszczęść fala,
Przy tobie rozkosznym snem niebian usniemy!

Kronos.

Przeklętwo! Więc tytan tak mówi?
Zadrzyjcie góry, i niech echo wasze
Do najdalszych krańców świata
Rozniesie hańbę tytana!
Niechaj zawczasu na Olimpu szczycie
Wróg nasz, obchodząc zwycięstwa święto,
Nektar wysąca z kielicha!

Ziemia.

Niech wszelka słabość będzie przeklęta!
Kto wpośród walki do spokoju wzdycha,
Ten niewart ciszy na mojem łonie;
Kto nie rozumie wymagań ducha,
Ten, o Hyperyonie,
I mego głosu nigdy nie podsłucha,
I moich praw nie zrozumie.

(Znika).

Kronos.

Zażarta walka wre już rok dziesiąty,
A mnie się zdaje, że ledwie chwil kilka;
Głos boju zaległ wszystkie światy kąty,
A mnie się zdaje, że nikt go nie słyszy,
Że ja sam tylko stanąłem do boju
W przerażającej naokoło ciszy.

Hyperyon.

Niestety, pragnień naszych nikt nie dzieli.

Ocean.

Brak w twoich piersiach zapалу do walki.

Hyperyon.

Ciężar niewoli wszelki zapal tłumy.

Ocean.

Pozbądźmy smutku, nadzieja zwycięstwa
Niech naszą twarz rozweseli.
Ufajmy sobie, a przybędzie męztwa.

Kronos.

Zemsta! Bracia, serca nasze
Niech całe zemstą goreją!
Niech wnętrza ziemi przeniknie zemsta,
Niech wszystkie światy, jak płomienną chmurą,
Ogarnie od końca do końca!
Niech zgasi nawet blask słońca
I straszną larwą ponurą
Przed obliczem Zeusa błysnie!

Ocean.

Zemsta nam wkrótce serce przepali.

Kronos.

Wówczas od sępów pożyczymy serca
I walczyć będziemy dalej.

Chór Tytanów.

A czyż zginie Zeus, morderca?

Hyperion.

Kto idzie z nami?

Kronos.

Pójdzie świat cały;
Nawet nikczemnych żyłatek miryady,
Co w skał szczelinach trwożnie się chowają,
Teraz, posłuszne prawom natury,
Za naszym podążą śladem.

Chór Tytanów.

Jednak czy Zeusa zwyciężym?

Kronos.

Niedługo, bracia, panować będzie:
Jeszcze raz siły zbierzmy, raz jeszcze
Rzucmy się całą potęgą duszy!
Ze tytan wkrótce Olimp posiędzie
I władzę Olimpijczyka skruszy,
Jakieś mi mówi przecucie wieszczę.

Ocean.

Na stokroć sroźsze je-zcze zapasy
Bądźmy, o bracia, gotowi.

Hyperion.

Dla czego?

Ocean.

Ockną się ze snu sturęcy,
Choć bracia nasi, przez nas ciemiężeni;
Powstaną z nowym, świeżym sił zapasem
I wśród błyskawic i pożóg płomieni
Z rozkazu Zeusa, jak morskie bałwany,
Uderzą na nas.

Kronos.

Przeklętwo!

Chór Tytanów.

O biada!

Ocean.

Nie z taką siłą piorun z chmur wypada,
Z jaką sturęcy na karki nam wsięda.

Kronos.

Nie trwóż się, myśl ta zbyt cię przestrasza:
Nas i sturękich zarówno zrodziła
Ziemia, wspólna matka nasza.

Ocean.

Aleśmy wspólnych praw im nie przyznali.
W pogardzie wlokąc mizerne swe życie,
Ku nam przesiąkli nienawiścią cali
I dziś, łaskami Zeusa obdarzeni,
Czcząc w nim przewagę i moc w danej chwili,
Z tem większą siłą pójdą na nas społem,
Im więcej krzywd im myśmy wyrządzili;
I mścić się będą, żeśmy sami czołem
Ich nauczyli bić przed siłą dłoni,
Ześmy ich braćmi nigdy nie nazwali.

Kronos.

A gdzież jest nasza potęga?
Czy ty nie wierzysz w tytana siłę,
Gdy po tron dumnie aż na Olimp sięga?

(U góry przepływają Oceanidy).

Chór Oceanid.

Z błogosławieństwa naszej rodzicielki
Niech wieczna wypłynie moc,
Niechaj się zbudzi duch czysty i wielki
I ciemną rozpędzi noc.

Jedna z Oceanid.

Słuchajcie, siostry, opowiem wam dziwy,
Które dziś w nocy oglądałam we śnie,
Kiedym usnęła na miękkim posłaniu
Z wodnych lilijek w oceanu głębi:
Duch mój, wciąż trwogi uczuciem targany,
Nagle przed sobą ujrział kraj tak piękny,
Tak cudów pełny i taki rozkoszny,
Jakiego nawet wrząca pierś niebianki
W chwilach zachwytu stworzyć nie zdołała.
Tylko duch jakiś wyższy czasem może,
Piętno wielkości noszący na czole,
Zrzuciwszy z siebie podłych żądź obroże
I w głębie własne cofnąwszy się zwolna,—
Ujrzał krainę takiej samej krasy.
Znacie, o siostry, pierwsze wiosny technienie,
Pierwszy dzień życia nowego natury,
Co drzemie, w śnieżnej okuta obroży?
A kiedy jasny promień Heliosa
Na jej umarłej lodowatej twarzy
Pierwszy miłości pocałunek złoży,
Ocknie się zwolna i sennym uśmiechem
Za pocałunek Heliosa obdarzy.
Znacie ten uśmiech, najcudniejszy z wszystkich,
Na jakie zdobyć się natura zdoła?
Takim uśmiechem wita was na wstępie
Ta bozka, we śnie widziana kraina.
Tam ziemię z niebem w gorącym uścisku
Widziałam wiecznem cieszącą się szczęściem,
Tam duch swobodnie bujał po przestworzu
Bez żadnych śladów cierpienia na czole;
Jak łódka lekka na fałdzistem morzu,
Tak on się lekko kołysał na falach
Cichego wiatru, co go niósł za gwiazdy,
I cicho śpiewał wzniosły hymn stworzenia,
A pieśń ta w jeden akkord się zlewała
Z pieśnią wszechstworzeń i wszechświatów pie-
[snią];

Czar tej muzyki wstrząsnął mną do głębi,
Słuchałam pieśni z zapałem.
Tu po raz pierwszy poznałam, co znaczy
Być wolną duchem i ciałem.
Jam się stopiła w tym rozkosznym bycie,
Sama się stałam jedną z cząstek jego
I tak, jak wy tu czasem we śnie śnicie,
Tak ja tam żyłam rozkosznie na jawie.
I życia tego nic tam nie mąciło,
Bo wspólna praca była naszym celem,
Bo miłość wspólna była naszą siłą,
I wspólne były wszystkie nasze drogi,
Cele i myśli, ideały, bogi.
I nikt tam nie był z sercem potarganem
Bolem, zawiścią, gniewem, chęcią zdrady,
I nikt nie pragnął nad drugimi władzy:
Nad nami tylko Helios był panem
I gwiazd błyszczących w błękicie miryady.

Hyperion.

To obraz wieku, co wkrótce nastanie.
Cieszymy się, bracia, rozpogódźmy czoła!

Ocean.

Jak to? Maż ustać wszelkie panowanie?
Takiego szczęścia nie pojmuję zgola.

Kronos.

Dopóki żyjem, musimy panować;
Prawdziwie tylko ci są szczęśliwymi,
Co absolutnie rozkazują światu.

Ocean.

Nie. — Innych rozkoszy doznamy na ziemi
Po walce skończonej z bogami,
Gdy wlecim na Olimp skrzydłami orlemi,
I bogi pobladną przed nami.
O, wówczas się zmieni dzisiejszy świat stary.
Któż nasze rozkosze wypowie,

Gdy nektar z amfory lać będziem do czary,
Ucztować, jak niegdyś bogowie!

Chór Tytanów.

Na Olimp, na Olimp, wspólnemi siłami
Pelion na Ossę nałożym;
A mord i pożoga przed nami, za nami,
Aż siądziem na tronie bożym!

(Zjawiają się Furje.)

Chór Furyj.

Tędy, tędy wasza droga,
Tam, widzicie, Zeusa tron?
W chmurach postać tego boga,
Jak spokojnie patrze on!
Naprzód, pędzim my na czele,
Zamykamy oczy wam.
Niechaj drżą nieprzyjaciele,
Gdy u niebios staniam bram!

(Furje i Tytanowie prócz Kronosa ulatują. — Zjawiają się Dzieci Nocy).

Chór Dzieci Nocy.

W tym dzikim szale
Pędźcie wciąż dalej,
A my za wami w trop.
Z Zeusa rozkazu
Runiem odrazu,
W jeden zwiążemy was snop.
Cieszymy się, dzieci,
Teraz nadleci
Naszego żniwa czas;
W takiej godzinie
Źródło łask płynie,
Zeus błogosławi nas.

Kronos.

Przeklętwo wam, ciemności duchy!
Wy, co nie znacie rozkoszy nieba,
Wy, co na szyi dźwigacie łańcuchy,
Wy, to jesteście najniezszczęśliwsi
Ze wszystkich tworów na ziemi;
Nad wami płakać potrzeba.

Chór dzieci nocy.

Płakać nad nami? O, jakżeś szalony!
A czy ty nie wiesz, żeśmy Zeusa sługi;
A kto na świecie będzie bogom równy
Siłą; kto, powiedz, kto znajdzie się drugi?

Kronos.

Ja, tytan.

Chór Dzieci nocy.

Cha, cha! chciałbyś więc może,
Byśmy się twemi sługami stali?
Byś mógł nas zakuć w swoje obroże?

Kronos.

Pomóżcie Zeusa z Olimpu mi strącić,
A ja wam władzy bojów udzielę,
Dam nieśmiertelność, a po zwycięztwie
Do wspólnej wszyscy siądziem biesiady;
Bo gdzie zasługi wspólne, tam wesele
Winno być również wspólne i jednakie.
Razem się będziem weselić,
Razem nową władzą dzielić.

Chór Dzieci Nocy.

Dzielić się władzą! A któż się nią dzieli,
Gdy całą w ręku swych utrzymać może?
Nie, nas nie złowisz na słowa, tytanie;
My wiemy dobrze, że tylko dopóki
Zeus żyje, póty nasze panowanie.
Majestatyczny, poważny i srogi,
Tak jak na władcę przystało.
Stworzenia podle z drogi, precz z drogi!

(Odlatują).

Kronos.

Czy znów grom ryknął, czy mi się tak zdało?

(Zeus ukazuje się przed nim).

Ktoś ty, o widmo?

Zeus.

Jam bóg.

Kronos.

Spójrz mi w twarz!

Zeus.

A czy cię boga nie przestraszy wzrok?

Kronos.

Choćby grom wypadł z twojego spojrzenia,
Tytan się Zeusa nie ulęknie wzroku.

Zeus.

Nieszczęsny, chcesz mi stawić opór dłużej,
Szaloną walkę ciągnąć dalej jeszcze?

Kronos.

Tytan w połowie swej drogi nie stanie;
A choć się niebo naokoło chmurzy,
Serca Tytanów nie ogarnie trwoga.

Zeus.

I długoż walczyć tak będziesz, tytanie?

Kronos.

Dopóki jesteś; póki imię boga
Ku ziemi karki niewolników tłoczy.

Zeus.

Słuchaj! Zaprzestań walczyć; na Olimpie
Dam ci połowę tronu obok siebie;
Wszystkie rozkosze swego panowania,
Potęgę władzy mej z tobą podzielę;
Berło wszechmocy dzierżyć będziem społem,
Korzystać z tego, czem nas wszechmoc darzy;
W jednym ucztować siądziem bogiń kole,
I upojeni władzą i nektarem,
Grom postawiwszy u stóp swych na straży,
W spokoju prześnim długie szczęścia wieki,
W rozkoszach zgoła nie pragnąc niczego.

Kronos.

Straszny ten dla mnie, co żadnych żądz nie ma,
Co już niczego nigdy nie zapagnie,
Kto swe uczucia i swe namiętności
We własnej piersi pogrzebie.

Zeus.

Jakto, czyż miałbyś odrzucić tę władzę,
O którą walczysz? Nie pojmuje ciebie.

Kronos.

Dopiero wtedy władza w sobie mieści
Cały swój urok, gdy jest bez podziału;
Sam będę władał, choćbym szedł do tronu
Wśród krwi morza i jęków boleści.

Zeus.

Cha, cha! Już teraz nie lękam się ciebie.

Kronos.

Złękiesz się wkrótce, o, złękiesz się, gdy cię
Tytan powita na Olimpu szczycie
I z rozkosznego snu nagle obudził!

Zeus.

Otblań Tartaru swą paszczę otwiera:
Leć w nią czempredziej, wyniosły tytanie!

Kronos.

Zawczasie witasz nadzieję zwycięstwa.

Zeus.

Spójrz wokół i sięgnij swym wzrokiem
Do wnętrza wszystkich poddanych mi stworzeń
A potem powiedz, kto z nas dwóch zwycięży,
Patrz: ten grom drżący, co skały rozbija,
U nóg mych wije się jak podła zmija,
Czekając tylko mojego rozkazu.
Tam dzieci nocy przelatują tłumnie,
Piszcząc, ażeby, jak ogarów zgraję,
Puścił je prędzej na łup upatrzony.
Ówdzie sturęcy, bracia wasi, stają,
Dziwiąc się waszej dumie, spoglądają
Na was łakomie. Zewsząd, z każdej strony
Tłum nieprzyjaciół tytanów okala.
Na kogoż liczyć więc możesz, szalony?
Może na tworów podlejszych czeredę,
Co jako płazy obsiadły tę ziemię,
Automatycznie nędzne włócząc życie?
Spójrz w głąb ich piersi, a poznasz odradu,
Czem jest to straszne swą nicością plemię,
Którem ja dawno pogardzam.

Kronos.

A ziemia?

Ta jedna nie jest twoją niewolnicą.

Zeus.

Spójrz na sterczące we śnie skał tych czoła,
Na mój bezwiednie burzące się fale;
Słuchaj, jak wichry tam w dali gdzieś jęczy,
Dla was o pomoc bezskutecznie woła;
Jak ziemia wycia wydaje szakale,
Jakby w uścisku żelaznych obręczy,
Westchnie, umilknie i westchnieniem znowu
Powietrze napełni dokoła!
Wobec sił wyższych i ziemia bezsilna.

Kronos.

Kto ci dał taką moc?

Zeus.

Ananke

Kronos.

Jednak

Ja ciebie muszę zwyciężyć, wiesz o tem?
Muszę.

Zeus.

I ja tak sądziłem przed chwilą
Dziś wszakże próżnej pozbyłem się trwogi.*(Znika. Bije grom).**(Dokończenie nastąpi).*

DRUGIE POKOLENIE

POWIEŚĆ ORYGINALNIE NAPISANA

przez

M. GAWALEWICZA.

*(Dalszy ciąg).*Cieszyło go nad wyraz, kiedy w chłopcu upa-
trywano podobieństwo do matki, a w dziewczynie
do niego, jeszcze bardziej zaś, gdy mu mówiono,
że i jedno, i drugie z bliźniąt podobne jest tylko
do ojca.Nie wiedział sam, dlaczego mu to pochlebiało.
Od chwili, kiedy się poczuł ojcem, rzeczywi-
stym ojcem dwojga dzieci, zaszła w nim nagle
taka zmiana, jakby mu z tą godnością i wieku
przybyło, — spoważniał. Zdawało mu się, że
jest starszym, że mu serce urosło i pogłębiło się,
że się stał lepszym i stateczniejszym.Jakiś innym okiem spoglądać zaczął na
dzieci, wyczekujące o południu i wieczorami pod
murem fabrycznym powracających od pracy ro-
botników; coś go kusilo, ażeby z nimi porozma-
wiał. Poglądał kilka razy pod brodę jakąś
dziewczynkę, która zdziwiona i ujeta tą niezwy-
kłą uprzejmością ucałowała go szybko w rękę.Sprawiło mu to dziwną przyjemność, której
lawniej nie miał i przyszła mu myśl, aby
w dniu fabrycznego święta dla wszystkich dzieci
robotników urządzić także osobną zabawę na
placyku za gisernią, a na pamiątkę tej uro-
czystości obdarzyć je wszystkie małymi po-
darunkami.Kazał w tym celu nakupić po naradzie z żoną,
obrazków, książeczek, zabawek, materiałów na
fartuszki i kaftaniki, włóczki i bawełny do robie-
nia pończoch, koszyczków do noszenia stawy na
południe i rozmaitych praktycznych drobiazgów,
które miały być rozdawane chłopcom i dziewczę-
tom po obiedzie.Odkładano umyślnie datę tego święta, aby do-
czekać się zupełnego wyzdrowienia Fraui, bez
której udziału nie chciano obchodzić jubileuszu
i chrzcina.Przygotowania do uroczystości wymagały tak-
że pewnego czasu.Im bliżej było oznaczonego wreszcie dnia, tem
uparciej przychodziła Krzysiu do głowy myśl,
z którą nosił się w tajemnicy, — myśl pogodzenia
się z bratem.Szukał sposobu sprowadzenia marnotrawnego
syna do ojcowskiego domu i przykro mu było
wspomnieć, że bez uczestnictwa Karola mogłoby
się odbyć tak ważne fabryczne i rodzinne święto.
Zapomniał wszystkie urazy, jakie miał kiedykol-
wiek do brata, pamiętał tylko, że są dziećmi je-
dnej matki i że powinni żyć w w zgodzie z sobą,
nie w rozterce.Wiedział dobrze, iż u ojca ciężko mu będzie
wygrać sprawę Karola, nie spodziewał się uzy-
skać dla niego formalnego przebaczenia i nie pró-
bował nawet otwarcie poruszać tej drażliwej
kwestyi; ale miał nadzieję, że stary dałby się
udobruchać i przejednać, gdyby zobaczył w uro-
czystej chwili swego pierworodnego syna, i że
nie odepchnąłby go powtórnie od swoich kolan,
gdyby się ukorzył i przyszedł poprosić o odpusz-
czenie grzechów.Liczył na to, iż czas usmierzyć musiał żal
i oburzenie ojca.Z tym planem zwierzył się żonie, która była
dla niego powierniczką wszystkich najdrobniej-
szych myśli i współniczką działań, a zachęcony
ostatecznie przez nią, pewnego dnia wybrał się
osobiście do Karola, aby z nim ułożyć projekt
zbliżenia się do ojca i rodziny.Chciał mu się ofiarować na pośrednika i skłó-
nić go do uczynienia tego stanowczego kroku,
do którego jedyna teraz nadawała się sposo-
bność.Nie wątpił ani na chwilę, że Karol przyjmie
jego propozycję z całą gotowością i rozmyślał
tylko nad przygotowaniem tej ważnej sceny
pojednania, które mu na sercu od tak dawna le-
żało.Jakkolwiek wybrał się o dość późnej godzinie
rannej do brata, zastał go jednak jeszcze w łóż-
ku, rozebranego, zaspanego po nocy, spędzonej
Bóg wie gdzie i na czem.Musiał się długo dobijać do drzwi tego ma-
łego, ciasnego pokoiku, w officynie na drugim
piętrze, który od kilku miesięcy Karol zaj-
mował.Zaduch nieprzewietrzanej izby, nieład w ume-
blowaniu, nieporządek wyglądający z każdego
kąta przykre sprawiły wrażenie na Krzysiu przy
samym wejściu.To samo opuszczenie, które cechowało czło-
wieka, odbijało się i w jego mieszkaniu. Znać
było, że ta izdebka, pełna zaduchu, zaśmieconana

dopałkami papierosów, popiołem zrzucanym na podłogę, służy tylko za sypialnię dla lokatora, spędzającego cały czas za domem.

Ze ścian odstawały w kilku miejscach tapety, w jednym kącie zwieszała się od sufitu długa nitka pajęczyny, na krzesłach i stoliku leżały porozkładane części ubrania i bielizny, na stołku stała miednica brudna z wodą od wczoraj i resztki mydła glicerynowego, przyschniętego do stłuczonego spodka.

Ani lusterka, ani obrazka, ani nawet fotografii jakiegokolwiek w ramach nie widać było dla ozdoby nagich ścian, w których sterczały tylko gwoździe i haki pozostawione przez poprzedniego lokatora.

Łóżko podobne było raczej do barłogu, niż do posłania, na którym wylegiwał się dzisiaj dawny sybaryta.

— To ty? — spytał z niedowierzaniem i zdziwieniem Karol wchodzącego brata — myślałem że stróż albo rządca po komorne... No, wejdz, a zamknij drzwi na klucz, żeby licho kogo nie przyniosło.

Podali sobie ręce na powitanie.

— Ładnieś mnie zastał! — mówił, przeciągając się i ziewając szeroko. — Cóż tam się stało, żeście sobie przypomnieli mnie nareszcie?..

Krzyś rozglądał się z przykrem uczuciem po izdebce.

— Czy nie można u ciebie otworzyć okna? — spytał, zamiast odpowiedzi.

— Dlaczego?..

— Duszno tu, nie przewietrasz chyba nigdy pokoju.

— Co mam przewietrzać!.. tyle tu siedzę, co śpię. Nora, nie pokój; i tak mnie zdzierają za nią co miesiąc!..

Poszedł ociężałym krokiem otworzyć lufcik, potem z jednego stołka zgarnął rzeczy i podał go bratu.

— Siadaj.

Sam rzucił się znowu na skrzypiące niemilosiernie łóżko.

— Coż tam nowego?..

Nie patrzył mu wprost w twarz, choć się tak dawno nie widzieli, unikał raczej jego spojrzenia, jakby urażony lub zawstydzony.

Krzyśowi trudno było dojść do słowa, tak go zgnębił widok tego zaniedbania, jakby nędzy prawie starszego brata, który nawet przy tem, co od niego dostawał, mógłby się urządzić jakoś lepiej i wygodniej. Niegospodarność była widoczną ze wszystkiego.

— Przyszędłem podzielić się z tobą radosną nowiną, — zaczął po chwili.

— Cóż umarł kto i zostawił mi majątek? — przerwał mu Karol z odcieniem szorstkiego cynizmu w głosie.

— Przeciwnie, urodził się, i to u mnie.

— Aa!.. cóż masz?... syna czy córkę?..

— Dwoje; bliźnięta.

— Fiu, fiu!..

Pokreślił głową, ale bez wielkiego współczucia dla ojcowskiego szczęścia brata.

— No, to ci powinszować. Możeś mnie przyszedł prosić za kuma, co? — spytał ironicznie. — Zapomniałeś mnie uwiadomić o swoim ślubie, teraz przynajmniej o chrzcinach donosisz.

Ta szorstkość, która była wynikiem podrażnienia na sam widok brata, niemiłym tonem odzywała się w jego głosie.

— To prawda, — zaczął Krzyś łagodnie — zawiniłem, że ci nie uprzedziłem o moim małżeństwie, ale myślałem, że cię to nie wiele już obchodzić może, wszak ożeniłem się — wiesz z kim.

— A wiem, wiem! — wybuchnął jakby drwiąco.

— Powiedziałeś mi wyraźnie, że bym ci się na oczy nie pokazywał, wziąłem to na seryo. Cóż chcesz?

Karol spojrział na niego jakoś surowo.

— No, a teraz mi się pokazujesz..

— Przyszędłem w twojej własnej sprawie...

— W mojej?... ciekawym bardzo.

Krzyś przysunął się bliżej do łóżka ze swoim stołkiem i zaczął:

— Obchodzimy trzydziestopięcioletnie fabryki, i jubileusz firmy, a przytem chrzciny moich dzieci. Znosi się na duży festyn u nas, w fabryce

i w domu. Zaprosiłem sobie na chrzestnych ojców wszystkich robotników naszych... Będzie to święto rodzinne zarazem; otóż pomyślałem, że nie może się odbyć bez ciebie; trzeba raz przecie skończyć te wszystkie zatargi, wypadłoby, abyś wrócił do nas i pojednał się z ojcem... Tyle lat już to trwa; przecie tak wiecznie zostać nie może. Nie uwierzysz. Jak mi to cięży na sercu i jak nam wszystkim dolega twój naprężony stosunek z ojcem. Stary pochylał się już bardzo, spracowany, sterany, tyś także nie dziecko: czas się złączyć, zbliżyć, pogodzić... Moglibyśmy teraz zabrać się do pracy wspólnie, aby ojcu choć ostatnie lata osłodzić i wynagrodzić mu tyle zawodów i cierpień. Fabryka, Bogu dzięki, idzie jak nigdy, są widoki, że pójdzie jeszcze lepiej... Roboty huk, znajdzie się dla ciebie zajęcie, bądź spokojny, byleś tylko ojca przeprosił i skorzystał z chwili. Ja już i o tem pomyślałem, widzisz; kiedy będziemy wszyscy zebrani, trzeba, żebyś przyszedł, staremu padł do nóg, ja ci to ułatwię, wszyscy ci pomożemy, w takiej uroczystej chwili stary zmięknie, zobaczysz! — on przecie ciebie najbardziej kochał z nas wszystkich, a choć najsrożej się z tobą obszedł, to nie możesz mu brać tego za złe. To przecie ojciec...

Chciał mówić dalej, zapalając się coraz więcej i poczciwym, serdecznym tonem usiłując rozgrzać Karola, gdy ten nagle podniósł się na posłaniu i z nachmurzonemi brwiami, z namarszczonym czołem, drżącymi ustami przerwał bratu:

— Co, co, co?.. co ty mówisz?.. czego ty chcesz?.. że bym ja szedł i do nóg padał ojcu?.. ja?.. ja mam jeszcze przeproszać, jeszcze się kłóżyć, może do tego na kłęczkach iść przez całe miasto?... ty mi śmiesz proponować coś takiego?..

— Ależ, Karolu!..

Nie pozwolił mu dojść do słowa.

— Za to, że mnie ojciec jak psa wyrzucił od siebie, żeście mnie pokrzywdzili, ograbili ze wszystkiego, żeście sobie zabrali moją pracę i życie z niej teraz, panujecie na moim gruncie, za to jeszcze mam do nóg padać?!.. przeproszać, poprawę obiecywać?.. Tego wam się tylko zachciewać?.. Niedoczekanie wasze!.. wołę zmarnieć z głodu zginąć, zgnić na barłogu, rozumiesz?.. Idź i powiedz to twemu staremu. Obchodźcie sobie jubileusze, chrzciny, kumajcie się z całym światem, mnie tam z wami nie będzie!.. o nie!

Krzyś spoglądał na niego zdumiony, jak na człowieka nie przy zdrowych zmysłach; słuchał i rozumieć nie mógł, wierzyć nie chciał własnym uszom.

— Ależ, człowieku, — zaczął — co ty mówisz!.. zastanów się, przecie to ojciec!.. to ja, brat twój, przychodzę do ciebie z dobrego serca, przez życzliwość dla ciebie...

— Może jeszcze przez litość? — przerwał mu ironicznie — no, powiedz, litujesz się nademną, nad żebrakiem, który z waszej łaski na dziady zszedł!..

— Z naszej łaski?.. Karolu, bracie...

(Dokończenie nastąpi.)

PRZEGLĄD TEATRALNY.

LXXXVI.

Zły duch, melodramat w 4 aktach (5 obrazach) ze śpiewami, oryginalnie napisany przez *Pawła Kościńskiego*; muzyka *Nowackiego*. **Przed bramą**, komedia w 1 akcie, *Verconsin'a* przełożył z francuzkiego *E. Lubowski*. **Testament Cezara Girodot**, komedia w 3 aktach, *A. Belota* i *E. Vileforta*, z francuzkiego. **Hanusia**, obraz ludowy w 4 aktach, oryginalnie napisany przez *Seuera*; muzyka *Zygmunta Noskowskiego*.

Pióro p. Kościńskiego ma osobliwszy pociąg do — Parku na Pradze. Kapitalne sceny obu je-

go sztuk większych — o mniejszych niech mi wolno będzie nie wiedzieć — rozgrywają się w tem uroczem, zwłaszcza w nocy, ustroniu. Uczciwe kobiety p. Kościńskiego są już tak uczciwe a mężne, że nie wahają się o zmroku lub w nocy, bądź z miłości, bądź z zazdrości nawiedzać tych gości, dających schronienie złodziejom i wszelakim wyrzutkom. Najważniejsze momenta życia duchowego bohaterów mają u p. Kościńskiego za widownię park prazki. Tosamo już określa sfery społeczne, oraz kierunek, w jakim się rozwija psychologia dramatów młodego pisarza. We własnym swoim przekonaniu, i w uznaniu niejednego krytyka, p. Kościński jest pisarzem ludowym, a jego specjalnością przedstawianie ludu warszawskiego. Albo się p. Kościński, a za nim i krytyka, myli; albo też, wnosząc z owej symboliki parkowej, lud warszawski jest tak nędznym, że nie warto dla niego nawet pióra w kałamarzu maczać. Ja sądzę, że p. Kościński nie jest pisarzem ludowym; jest tylko człowiekiem dowcipnym, mającym wprawne humorystyczne pióro i pewien zasób spostrzeżeń zebranych nad najniższymi warstwami ludności. Ludu używa młody pisarz za coś w rodzaju muru do wypisywania na nim rozmaitych dowcipów, humoresek i owychto spostrzeżeń swoich, na które nie byłoby miejsca w uczciwym domu mieszczkańskim i w porządnym towarzystwie. Jego *Walka o córkę* miała w kupletach całą swoją wagę, a te kuplety wyśpiewywała w niej, zapewne z powodu ciężkich czasów oszczędnie, więc kuso, ubrana, muza. Koniecznym do takich kupletów dodatkiem były charakterystyki niewybierające sobie mozolnie dróg życia — żyjące lekko, poza prawem, zarówno moralnym, jak i społecznym, w kodex spisanem. Park prazki był również konieczną widownią takich czynów, jakie niezbędnie wynikać musiały z psychologicznego rozwoju danych charakterów. Były już i w owej *Walce* charakterystyki jasne, ale bierne lub dorobione; rdzeń sztuki tkwił w czynnych. Tosamo dzieje się i w nowej sztuce. Nie posądzam p. Kościńskiego o jakieś dążności, o jady pesymistyczne: na wydystylowanie ich możeby umysłowi zbrakło potrzebnego czasu, a czasowi potrzebnego umysłu. Takie pesymizmy mogą być tylko owocami głębokich odczuwań — sercem genialnego myślenia. Zastanawiając się nad sztukami p. Kościńskiego, widzę w nich raczej szczególniejsze upodobanie estetyczne w brzydocie obyczajowej, poszukiwanie oryginalności jak najniżej, fałszywe pojmowanie tego, co w sztuce prawdą życia być powinno; widzę owczy pęd za modą realizmu, o którym wszyscy perorują, a mało kto ma rzetelne pojęcie. Ludzkość będzie zawsze pod panowaniem — wyrazów.

Oprócz tego widzę w p. Kościńskim ogromną skłonność do pisania *Schauergergeschichten*. Bez zbrodni, bez tajemniczego jej mroku, bez zmwów, zasadzek, porywań, pożarów, dotychczas nie umie sobie radzić. Ztąd powstała melodramatyczność obu jego sztuk, dla pisarza ludowego zabójcza. Życie ludu w wielkiem mieście jest tak zasobne w formy, których on sam nawet nie zna, bo ich syntezę wytworzyć sobie nie zdoła, że podpatrywanie ich, zbieranie i dramatyzowanie wdzięcznym tylko może być trudem, jeżeli go podejmie człowiek rzeczywistym talentem dramatycznym obdarzony, a wiadomo, że do rzeczywistości tego talentu ogólna umiejętność pisarska, ogólne zalety pisarskie nie wystarczają: potrzeba mieć do niego jeszcze i oko wewnętrzne, w człowieka i w całe gromady ludzkie patrzeć umiejac. Tysiące znalazłoby się szczegółów godnych ujęcia w soczewkę obserwacji i przedstawienia na scenie bez parków prazkich, bez podpałań, bez zbrodni, bez kajdaniarzy wypuszczonych z rot aresztanckich, bez czarnych charakterów, wreszcie bez tych pijaków, którzy nawet przy urzędowej czynności topią sumienia w kieliszkach — godni przedstawicieli stanu rzemieślniczego! Czyż to życie ludowe niema innych już zjawisk, innych wypadków, uczuć, wrażeń i czynów — innych stosunków, godnych poezji dramatycznej? *Poezji* — powtażam — bo i dramat poezją być musi, poezją, nie liryczną wprawdzie, nie wyłącznie liryczną; ale biada mu, gdy myśli nie być poezją, t. j. natchnionem ujęciem człowieka i życia we własne

artystyczne formy: będzie nicością. Nawet satyryk wytykający drożności, niemiłosierny dla wstępu społecznego lub moralnego, wyśmiewający małość i słabość w pozornej wielkości i sile, poeta być musi, a poezją jego będzie to, co jest poezją we wszelkiej dramatyczności, od jej rodzajów najpoważniejszych do najłżejszych: stwarzanie charakterów ludzkich, a odtwarzanie życia ludzkiego, w jego migocących się falach, starciach i walkach. Bez poezji można pisać sztuki dramatyczne, wystawiać je na scenie, znajdować dla nich publiczność, *robić kasę*; można nawet dostąpić pochwał u krytyki—która marózne swoje stopnie i różne zadania, a przytem rozpada się na dziennikarską i literacką—ale twórcą dramatycznym być nie można. Kto swego egoizmu pisarskiego zamknąć nie zdoła w tem zadowoleniu, jakim napełnia człowieka stwarzanie charakterów ludzkich w danych ośrodkach społeczeństwa i myśli społecznej,—ten nigdy pisarzem dramatycznym nie będzie. Dramat jest najwyższym, najtrudniejszym, ale też i najwięcej wymagającym ze wszystkich rodzajów sztuki, i czci też szerszej, miłości większej, wierniejszej służby dla siebie wymaga, niż jakakolwiekby inna sztuka piękna.

Zły duch jest lepszym od *Walki*, bo nie jest tak rozhasany, ma mniej kupletów, bezporównania więcej w nich dobrego smaku, a dokładniejszą budowę psychologiczną; ale jest i gorszym, bo przewija się już po najwyższych sferach społecznych, dobiera sobie nikczemniejsze charaktery i cierpi też na większą zgagę moralną. W ogóle nie na drodze przez obie sztuki wytkniętej znajdzie p. Kościński kamień filozoficzny swego dramatisarstwa. Jeżeli się nie chce przepaść dla literatury, aby zato żyć w ogródkach, trzeba drogę obraną porzucić. Szkoda byłoby zdolności, szkoda pióra, które niewątpliwie przy zdolnościach jest—tylko na manowcach.

Drobniarz Verconsina *Przed bramą* miał już dawno na scenie naszej swego bliźniaka, o którym publiczność zapomniała, a i krytyka sama nawet nazwy jego dziś już zapamiętać nie może. Ale tak samo i w owej starzyźnie spotkało się dwoje na ulicy, a nie mogąc się dostać do swych mieszkań, dostało się sobie wzajemnie do serc. W dawnej fraszce były śpiewki, w dzisiejszej jest tylko rozmowa. Słucha się tego jakby się patrzyło na cacko, do którego strach przystąpić, aby od oddechu samego nie przysło. Zapelnia to czas a nie sprowadza nudów. Należy też do rodzaju *lever du rideau*: na podniesienie kurtyny. Pani Ludowa i p. Szymanowski wystąpili w tej drobnostce na scenie Teatru Letniego. Pani Ludowa miała, jak zawsze, dużo wdzięku; jest to jej C z piersi.

Testament Cezara Girodot pp. A. Belota i J. Villeforta ma już również na naszej scenie swą przeszłość, dość sędziwą, jak na utwór świeżo przedstawiony. Lat temu dwadzieścia parę odbywano już z niego próby czytane. Dlaczego nie posunięto się dalej? dochodzić nie chcę. Sztuka liczy sobie już trzydzieści kilka lat wieku. Wiek to już poważny, ale i sztuka też nie lekka, nie marna, nie głupia, wytrzymała na czas. Przez lat trzydzieści nie zmieniła się natura ludzka, ani we Francji, ani u nas. Chciwość na pieniądź, obłudny żal po nieboszczyku zostawiającym krocie, zawiści i podejrzenia wzajemne, wpychanie noży i szpilek pod bok ukochanym współsuksessorom,—cała ta tęcza egoizmu uśmiechającego się do worka, nie przestanie nigdy chyba radować wzroku satyry. W satyrze też, w więcej rozproszonych niż ześrodkowanych jej rysach, tkwi dziś

jeszcze wartość sztuki. Charakterów artystycznie pełnych i pełnością swą doskonałych w niej nie ma, z wyjątkiem jednego (Izydora Girodot), ale w całości są charaktery żywe, barwne, urozmaicone w treści, indywidualne. Odczytywanie testamentu wywołuje komiczne efekta niecierpliwości i pożądania, które nawet nie mają czasu dobrze nakryć się obłudą. W akcie III-cim, kiedy już testament sprawił zawód wszystkim,—bo był tylko zabawką samego testatora—doskonały jest wybuch gniewu brata, biednego, chciwego i zawiedzionego w rachubach (owego Izydora) przeciwko bratu Felixowi, który, posiadając majątek własny, od Cezara Girodot niczego już nie chce. Mała płazowa dusza złoźnika wytacza tu bratu proces za to, że go przez życie całe i los i ludzie lepiej kochali. Nie widzi, że sam kochać się nie dał, sam przez chciwość i samolubstwo, nie wsparte wyższymi zdolnościami, zgutował sobie swą biedę, swój zawód i skargi wreszcie swoje.

W temat chciwości wplata się równie odwieczny temat miłości i jej potencjalnego czynnika: zazdrości. Pani Lehuchoir, posiadając męża, który ma w życiu jedną tylko miłość: dla franka, a zdobywał go nie zawsze prawem sposobami, serce swe oddała była jeszcze przed rozpoczęciem się komedyi krewnemu Girodota, Lucyanowi. Teraz w tym samym Lucyanie kocha się Paulina, córka Felixa. Sceny między zakochanymi, między dawną a nową miłością, objawy jej nazewną w stosunku do rodziców jednej, a męża drugiej kobiety wzbogacają temat posiłkowy sztuki. Po Izydorze Girodot ta p. Lehuchoir jest najlepszą postacią w sztuce.

Z powodu *Cezara Girodot* przypomniano Bliźnińskiego *Szach i Mat*. Podobieństwo jest tylko w samym przedmiocie, ale niema go ani w pomysłach dramatycznych, ani też w rozwoju przygód, doborze charakterów i ich ustosunkowaniu, w postaciach namiętności głównej i w tematach dodatkowych. Dzieło Bliźnińskiego jest zupełnie oryginalne.

Wykonanie w Teatrze Letnim ukazało talent p. Szymanowskiego w nowym świetle. Rola starszego już człowieka, nawskroś rodzajowa, ujęta w drobiazgowo rysy moralnego kalektwa, znalazła w uzdolnionym artyście dobrego przedstawiciela. Doskonałym jeszcze ten Izydor nie był, ale doskonałym stać-by się mógł, gdyby publiczność przez uczęszczanie na sztukę dodała artyzmowi bodźca szlachetnej ambicji. P. Ładnowski grał poprawnie rolę sceptyka spokojnego, ale kochającego jeszcze dobro i szczęście ludzkie, Masias'a, przyjaciela testatora. P. Barszczewska, jako owa pani Lehuchoir, nie miała ani zrozumienia roli, ani temperamentu do niej potrzebnego. Ta dobra kobieta jest popędliwą kobietą i potrzeba ją zwłaszcza w akcie II, grać bardzo szybko, w tonie ustawicznego gniewu, tlejącego na dnie duszy. Kochanek dawny p. Hortensyi, Lucyan, nie miał szczęścia do p. Nowickiego. Artysta był sztywnym, jakby kij polknął: dobrze być tak z Bismarckiem, ale nie z kobietami. Nawet chłód, lód, zimno — tak sztywnym być nie powinno w młodości, w jej najważniejszej sprawie. P. Jagielski może kiedyś będzie czemś, ale teraz jeszcze był niczem jako Celestyn. Panna Trapszówna zanadto myśli o tem, że gra.

„Belle-vue“ warszawskie wystawiło ów czarny dramat p. Kościńskiego i różową prawie sielankę Sewera *Hanusię*. Zrodziła się ona z powiastki wiejskiej pod tytułem ogólnym *Dla świętej Ziemi*, wydrukowanej dwa lata temu w *Kuryerze Warszawskim*. Śliczną jest powiastka,

zwłaszcza w pierwszej swej części. Natura zewnętrzna w przestworze i natura wewnętrzna w człowieku łączą się tu we wspólnej wymowie dla wygłoszenia głównego tematu utworu: nieograniczonego przywiązania ludu do ziemi. Życie malowane z prawdą, z realizmem niezbędnym w malowidłach rodzajowych, jakimi są powieści o ludzie, ale bez tego już zdzierania skóry, na którym kończy się sztuka, a zaczyna, albo facecya, albo anatomia sal szpitalnych i prosektoryów.

W dramacie musiała powieść wiele z wdzięku swego utracić. Zewnętrzna natura nie dopomaga tu już wewnętrznej do plastycznego przejawiania się. Opisy osób, doznawanych przez nie przygód i wrażeń, samej ich powierzchowności, charakterystyka ich stanów i usposobień, głos natury krajobrazowej, odzywający się wśród rozmów i rozmyślań ludzkich; cały kunszt drobnych rysów, niedających się ująć w żadną scenę,—całe to współdziałanie autora z osobami przez niego wywołanymi, możliwe i nakazane w powieści, dla dramatu stracone być musiało.

Powiastka jest przeważnie liryczna, przypomina jakby *Stimmungsbild* niemiecki. Malowanie, — wyraziste, ale lekkie i spokojne, wprawną delikatną ręką dokonane — po wstawieniu w ramy dramatu okazało się dla rzetelnej dramatyczności niewystarczającym. Przytem autor skrzywdził samego siebie: nie skorzystał ze wszystkiego, co było istotnie dramatycznym w powieści, a wprowadził znowu obcą utworowi powieściowemu a niewłaściwą dramatyczność, która wcale nie rozwija charakteru panującego w całej przygodzie i z tematu i osobistości podrzędnej czyni temat i osobistość główną (Mordko). Najwyższą jest część pierwszą; tymczasem mamy z niej tylko jeden akt, z wielką, dla Hanusi zwłaszcza, szkodą. W dramacie nie umie ona ani razu odciąć się Grzesiowi tak, jak się mu dwukrotnie, a świetnie, odcina w powieści. Skowron zawczasem sprzedaje swą ziemię, nic za to nie dostając. Mordko za wielką, Grześ za małą rolę gra w kuszeniu samotnicy wyczekującej powrotu męża. Liryzm zachwyty nad ziemią, której piękności i błogosławionego stanu widz okiem i sercem nie chwytają, jest ekliwym, jak i cały Skowron, wyraźnie z papieru zrobiony. Fujarka w Wigilią nieprawdopodobna, a sama Wigilia, w powieści tylko usymbolizowana, w dramacie dopomina się uczuciowej mocy, zdolnej już dusze na ton swój nastroić. Gromadne życie wsi, tak piękne w pierwszej części powiastki, aż do podwójnego wesela, w dramacie ogranicza się do wielkiej sceny w karczmie, stanowiącej akt I. Nawet sentencyonalność, choć tylko sporadyczna, Hanusi w dramacie odbija niekorzystnie od prostoty jej wystawiania się w powieści. Na domiar złego dwa pierwsze akty przeładowano tańcami, a skrzywdzono już wszystkie cztery ich niedołącznym wykonaniem. Szkoda, że *Hanusia* nie dostała się „Wodewilowi“. Tam sztuki ludowe grać umięją.

Stanisław Krzemiński.

Do dzisiejszego numeru *Bluszczu* dołącza się Arkusz 2-gi powieści pod tytułem: **Administrator**, przez Golo Raimunda. Przekład C. Niewiadomskiej.

TREŚĆ: Troska o chleb powszedni, przez F. Łagowskiego. — Pogawędka. — Walka Tytanów, przez J. Nitowskiego. — Drugie Pokolenie. Powieść oryginalnie napisana, przez M. Gawalewicza. — Przegląd teatralny, przez Stanisława Krzemińskiego.

Dodatek obejmuje: Arkusz 1-szy powieści, pod tytułem: **Administrator**, przez Golo Raimunda. Przekład C. Niewiadomskiej. — Przegląd mód. — 15 wzorów ubiorów i robót z opisem. — **Sekreta gospodarskie**. — **Dyspozycya stołu**.

Przeгляд mód.

To i owo co noszą.—Rękawki.—Buciki.

Po zesłorocznem bogactwie i różnorodności jakie nam przyniosła moda z okazji paryskiej wystawy nastąpiła w tym roku prostota niebywała. Moda od wielu lat dająca pole do fantazyi, dziś stała się znów tyranką. System ten jest nudny i niezadawalniający. Cóż możemy wytworzyć z owych ślicznych kwiecistych fularów, materyałów w kratę, miękkiej krepy i grenadiny w pasy przy owej modzie gładkich, wąskich spódniczek, wysokich staniczków i rękawów bufiastych przy ramieniu a długich obcisłych u dołu, gdyż to jest typ dzisiejszej eleganckiej tualety.

Chcąc więc na wodach mieć tualety modne, należy nosić suknię gładką, wąską, nieco powłóczytą, wysoko zapięty stanik, marszczony lub plisowany z przodu, spięty klamrą, lub też bluzką z paskiem i owemi cudacznymi nieco rękawami, które charakteryzują epokę.

Rękaw centruje głównie dzisiejszą modną tualetę i daje pole fantazyi i najróżnorodniejszej zmianie, lecz tylko u góry przy ramieniu, gdyż od łokcia powinien



Nr 1. Płaszczek z materyału „gloria“ (do ryc. Nr 8). Opis odwr. str. tabl.



Nr 2. Suknia z szewiotu i „surah“ (do ryc. Nr 9). Opis odwr. str. tabl.



Nr 3. Pelerynka do sukni Nr 7 i 9. Opis odwr. str. tabl.



Nr 4. „Matinée“ z fularu. Opis w Bl. Nr 32.



Nr 7. Suknia z pelerynką z szewiotu i „surah“ (do ryc. Nr 2, 3 i 9). Opis odwr. str. tabl.



Nr 8. Płaszczek z materyału „gloria“ (do ryciny Nr 1). Opis odwr. str. tabl.

Nr 9. Suknia z szewiotu i „surah“ (do ryc. Nr 2, 3 i 7). Opis odwr. str. tabl.



Nr 5 i 6. Kaftanik ranny z barchanu. (Krój pierw. str. tabl. Nr IV, fig. 26—31). Opis w Bl. Nr 32.

być zupełnie obcisłym, bardzo długim, rysując wydatnie kształt ręki.

Rękawiczki noszą jeszcze o 3 lub 4 guziczkach, lecz jeśli moda owych długich i wąskich rękawów utrzyma się, powrócimy do rękawiczek zupełnie krótkich o 2 guziczkach.

Kolory noszone są jak najrozmaitsze. Co do czarnej sukni, ta obecnie jest jedynie uwzględnioną przy żałobie; zresztą należy czarną suknię koniecznie ozdobić kolorem, szkocką szarfą, kwiecistą wstążką lub grenadiną w pasy kremowe atłasowe i lila, ponsowe, żółto złote, lub koloru „fraise“. Stanowi to bardzo ładną letnią tualetę. Materyały w pasy lub koła, wyrugowały obecnie desenie w kwiaty lub rzucik. Osoby wyjeżdżające nad morze lub na wieś dobrze zrobią, zabierając z sobą kilka bluzek z białego półbatystu lub plisowanych, ubranych haftem, z cienkiego batystu w rzucik, lub z jasnego „mousseline de laine lub fularu“. Bardzo ładnie wygląda jasna spódniczka przy takiej bluzce przepasanej paskiem lub szarfą.

Dla osób żałujących turniury i stulek, obecnie zupełnie wyrugowanych przez wąską i długą suknię, radzimy do sukien z materiałów miękkich spódnice z włosienicy.

Szkockie materiały, także parasolki i wstążki do kapeluszy są najodpowiedniejszymi do podróżnych ubrań, jakkolwiek i lekki mieniący jedwab, również jest przyjemny.

Buciki spacerowe noszą niezbyt wysokie i niebardzo płytke, najładniejsze obecnie są tak zwane „Moliery“ z ciężkiej jasno-bronzonej lub niebiesko-popielatej skóry z kordką na podbiciu. Przy nich konieczne są czarne lub kremowe pończochy w podłużne paski. Męzkie buciki robią się przeważnie z tak zwanej węzowej skóry, nadzwyczaj lekkiej i miękkiej.

Wszystkie rodzaje tych bucików, tak damskie jak i męzkie widzieliśmy w wykonaniu w znany z dziwnie mocnej roboty wielkim składzie obuwia pana Feliksa Zaremby, dawniej na Miodowej a dziś tylko na Kaspitulnej ulicy pracownię swą mającego.
L. C.

Nr 10 i 11. Różne formy rękawów. (Opis w Nr 32).



Nr 20. Czepek ranny.

Koszula damska nocna

Rycina Nr 15.

Koszula z cienkiego modopolanu ozdobiona szlaczkami 3 cent. szer. haftowanymi bawełną niebieską oraz ściąganiem rybiej luszczy wykonanym bawełną białą. Skrajac podług kroju fig. 61—67.

Kaftanik nocny.

Rycina Nr 18. (Kroj odwr. str. tabl. Nr IX, fig. 50—54).

Kaftanik z cienkiego szyrtingu. Po dopełnieniu złożenia fig. 50 i 51 skrajac fig. 50 dwie części przypuszczając materiału 6 cent. na 6 zakładki. Również krając rękawy należy przypuścić na zakładki. Pasek zaś i kołnierz z materiału podwójnie złożonego. Połączyć części, otoczyć kołnierz i rękawy falbanką 3 1/2 c. szer. Prawy przedni brzeg wykończyć kontrafaldą, którą z 2 brzegów wzdłuż obszary falbanką podług ryc.

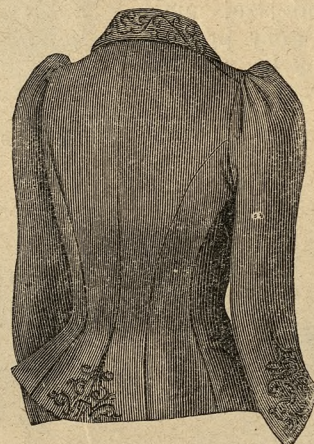
Kaftanik nocny damski.

Rycina Nr 19.

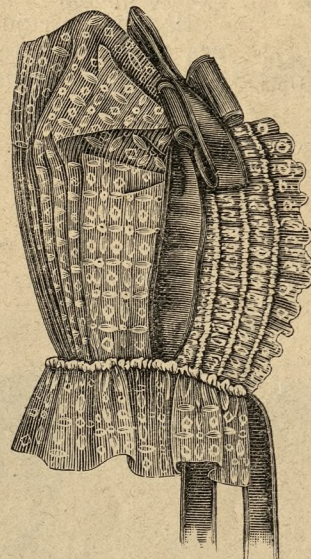
Kaftanik z batysty białego. Przednie części przybrane szlaczkiem haftowanym 2 c. szer. oraz tejsze szerokości z zakładkami. Kołnierz i mankiety przybrane odpowiednio. Skrajac podług kroju fig. 6—48. Kołnierz i mankiety



Nr 14—16. Koszule damskie nocne. (Kroj i opis odwr. str. tabl. Nr XI i XII, fig. 61—69).



Nr 22. Kaftanik dla starszej osoby (do ryc. Nr 23). Kraj i opis odwr. str. tabl. Nr VII, fig. 37—45.



Nr 24. Kapelusz dla małej pani.



Nr 26. Suknia tony (do ryc. Nr 27). Kraj i opis pierw. str. I, fig. 1—11.



Nr 28. Kaftanik dla starszej osoby (do ryc. Nr 22). Kraj i opis odwr. str. tabl. Nr VII, fig. 37—45.



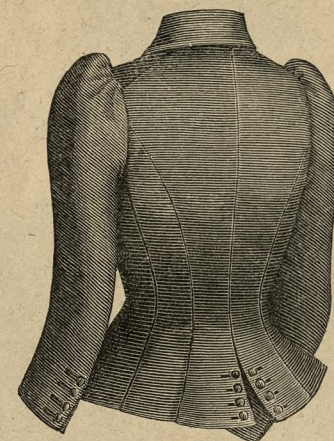
Nr 27. Kaftanik dla młodej osoby (do ryc. Nr 26). Kraj i opis pierw. str. I, fig. 1—11.



Nr 17—19. Kaftaniki damskie nocne. (Kroj odwr. str. tabl. Nr VIII i IX, fig. 46—54).



Nr 25. Kapelusz dla małej pani.



Nr 23. Kaftanik dla starszej osoby (do ryc. Nr 29). Kraj i opis pierw. str. tabl. Nr III, fig. 19—25).

podług fig. 52 i 53, rękawy zaś podług fig. 49 tejsze tablicy.

Czepek ranny z materiału koronkowego i koronki.

Rycina Nr 20.

Wykonać podstawkę z cienkiej petynetki białej, długości 58 cent., szerokości w przednim środku 5 1/2 cent. a po bokach 2 1/2 cent. odpowiednio do formy głowy porobić faldki i otoczyć w około koronkowym materiałem ułożonym w faldy. Przybrać następnie koronką podług ryciny oraz wstawką do przeciągania wstążeczki lub aksamitki. Aksamitka czarna z białym brzegiem wykończy całość.

Czepek z krepki i koronki.

Rycina Nr 21.

Podstawka z petynetki 20 cent. dług. w środku 5 1/2 cent. szer. zwężona ku bokom, otoczona drucikiem i jedwabną wstążeczką. Przedni brzeg przybrany 3-ma falbankami plisowanymi ułożonymi jedna na drugiej z krepki różowej podwójnie złożonej. Dalej czarna ko-



Nr 12 i 13. Różne formy rękawów (do ryc. Nr 10). Opis w Nr 32.



Nr 21. Czepek z krepki i koronki.



Nr 31. Suknia z tularu.

ronka 8 cent. szer. przyszyta wężykowato, w części przedniej wysoko ułożona. Środek wypełniony plisowaną różową krepką w kształcie róży.

Kapelusz dla małej pani.

Rycina Nr 24.

Kapelusz w rodzaju kapotki z materiału jedwabnego ponsowego w czarny rzucik. Główna podszyta muślinem, skrajana w dolnym brzegu podług prostej nitki, w górnym zaś nieco zaokrąglona i ułożona w faldy jak wskazuje ryc. Przednia część również muślinem podszyta i kilkakrotnie zmarszczona na podkładzie ze sznureczką, przedni brzeg rondo otoczony 3 1/2 cent. szeroka falbanką podwójnie złożoną. Wstążka ponsowa atlasowa 4 cent. szer. Tylna część zakończona karczkiem 11 c. szer. w drobne zmarszczonym faldki.

Kapelusz dla małej pani.

Rycina Nr 25.

Foremka z tiulu mająca z przodu wysokości 4 cent z tyłu 6 cent. a po bokach 7 cent. objęta drucikiem pokryta zszywaną koronką 9 cent. szer. w sposób, że z boków przedstawia się gładko a wzdłuż środka tworzy kontrafaldę 5 cent. szer. Rondo z takiejże koronki

Nr 30. Suknia z fularu.

ułożonej wysoko i zmieszanej z rozetkami z białej atlasowej wstążki 1/2 cent. szer. Wykończa przybranie kapelusza wstążką białą atlasowa 4 cent. szer.

Suknia z fularu.

Rycina Nr 30.

Suknia z fularu gładkiego koloru granatowego i z tegoż koloru fularu w deseń brązowy. Prawy bok spódnicy przybrany fularzem plisowanym w maszynie, upięcie podług ryciny. Stanik z materiału gładkiego przybrany falbaną dzierganą i haftowaną jedwabiem, koloru odpowiedniego do deseni sukni.

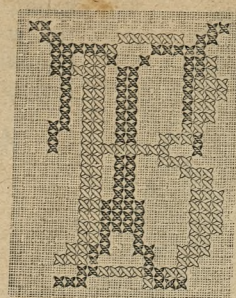
Suknia z bengaliny i aksamitu.

Rycina Nr 31.

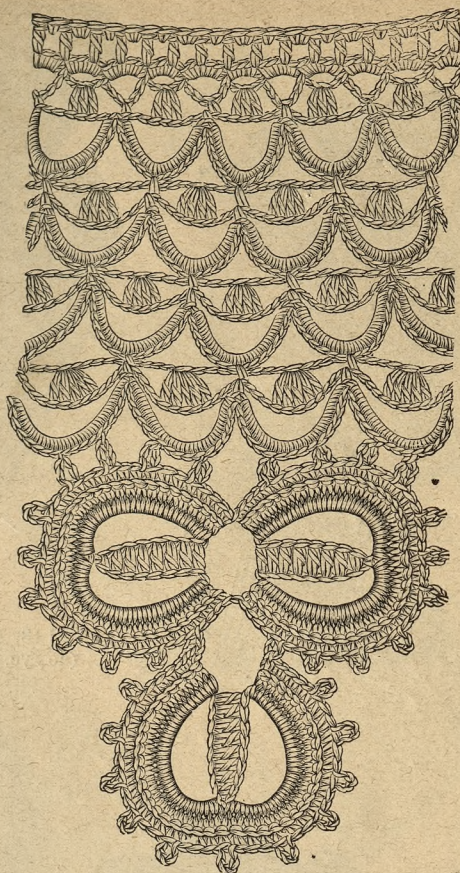
Spódnica z kanasu koloru „heliotrope“, otoczona w dolnym brzegu falbaną z tegoż materiału 5 cen. szer. zaopatrzona w górnym brzegu tasiemką do ściągania. Lewy bok przybrany materiałem koronkowym koloru żółtawego. Wierzchnia spódnica z bengaliny koloru „heliotrope“ ozdobiona haftem. Stanik z aksamitu tegoż koloru ozdobiony haftem z żabotem koronkowym, rękawy do łokcia z bengaliny, dalej zaś z koronki. Kołnierzyk stojący przybrany haftem.



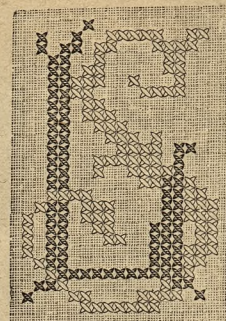
Nr 35. Torebka „pompadour“ ozdobiona haftem (do ryc. Nr 36).



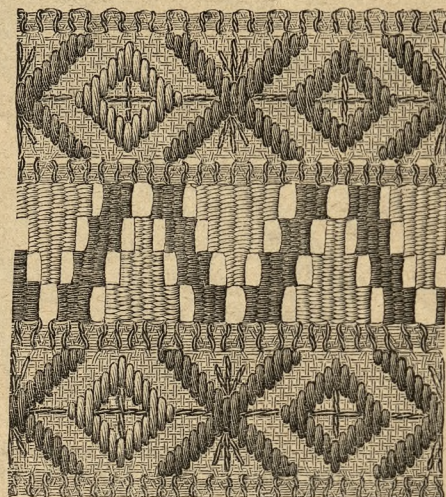
Nr 33. Znak haftowany (krzyżowa robota).



Nr 34. Część kołnierza do ryc. Nr 9 w Bl. Nr 32. Wielkość oryginalna.



Nr 33. Znak haftowany (krzyżowa robota).



Nr 36. Część haftu do woreczka „pompadour“ (wielkość oryginalna).



Nr 37—39. Serwetki do lodów ozdobione haftem i koronką klockową (do ryc. Nr 41, 42 i 45). Deseń odwr. str. tabl. Nr XIII, fig. 70 i 71.

1 ^a	2 ^a	3 ^a	6 ^a
4 ^a	5 ^a	7 ^a	8 ^a
9 ^a	10 ^a	11 ^a	12 ^a
13 ^a	14 ^a	15 ^a	16 ^a
17 ^a	18 ^a	19 ^a	20 ^a
21 ^a	22 ^a	23 ^a	24 ^a
25 ^a	26 ^a	27 ^a	28 ^a
29 ^a	30 ^a	31 ^a	32 ^a
33 ^a	34 ^a	35 ^a	36 ^a
37 ^a	38 ^a	39 ^a	40 ^a
41 ^a	42 ^a	43 ^a	44 ^a
45 ^a	46 ^a	47 ^a	48 ^a
49 ^a	50 ^a	51 ^a	52 ^a
53 ^a	54 ^a	55 ^a	56 ^a
57 ^a	58 ^a	59 ^a	60 ^a
61 ^a	62 ^a	63 ^a	64 ^a
65 ^a	66 ^a	67 ^a	68 ^a
69 ^a	70 ^a	71 ^a	72 ^a
73 ^a	74 ^a	75 ^a	76 ^a
77 ^a	78 ^a	79 ^a	80 ^a
81 ^a	82 ^a	83 ^a	84 ^a
85 ^a	86 ^a	87 ^a	88 ^a
89 ^a	90 ^a	91 ^a	92 ^a
93 ^a	94 ^a	95 ^a	96 ^a
97 ^a	98 ^a	99 ^a	100 ^a

Nr 42. Wzorek na koronkę klockową Nr 41.

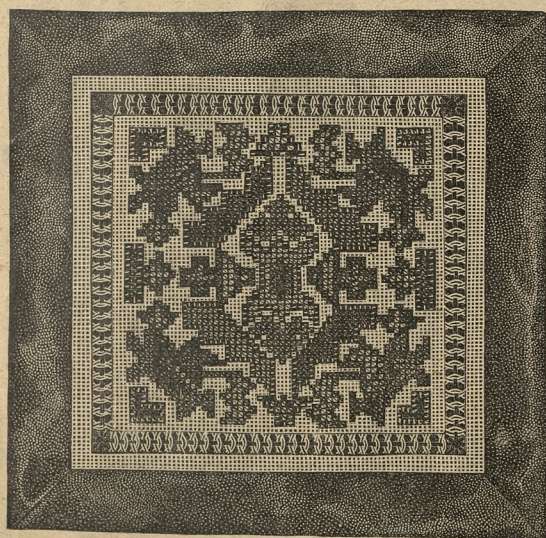
Nr 44 ścięciem krzyżowym rozmaitego koloru filozelą. Pojedyncze zaś figury otoczyć złotą nitką ścięciem obrzucanym.



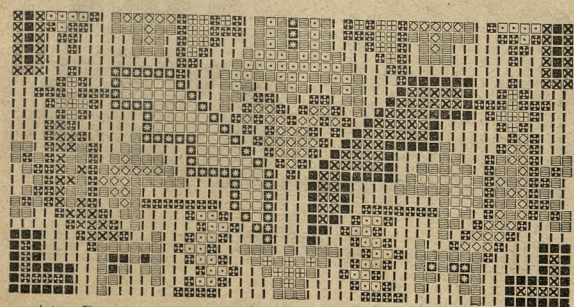
Nr 40. Znak haftowany.



Nr 41. Koronka klockowa do serwetek Nr 37—39 szerokość oryginalna do ryc. Nr 42.



Nr 43. Serwetka (robota krzyżowa do ryc. Nr 44).



Nr 44. Poziowa desena na serwetkę nr 43 (robota krzyż.)
 ■ bronz., □ pons., × ciem.-nieb., □ jasno-nieb., □ orzech.-ciem.
 ny, □ żółty, □ lila ciemny, □ lila jasny, □ oliwkowy, □ tło.

Przepisy gospodarskie.

Gruszki w miodzie.

Kto ma dużo miodu i gruszek może je zużytkować w następujący sposób: Obrac gruszki i wydrążyć nie inne jak panny lub sapieżanki, ale gotować do połowy w łupinie. następnie obrać na ciepło i wyłożyć na przetaki, jak ostygną ułożyć ściśle w rądel, tak aby jedna warstwa była na dół, druga do góry korzonkami, te gruszki tak ułożone zalać miodem (patoką), tak

aby miód gruszki zajął, smażyć na wolnym ogniu, gdy się miód w nich zupełnie wysmaży i gruszki będą miękkie, przekładać na półmisek jedna koło drugiej, niech tak poleżą parę dni, potem w słój wyłożyć nie ob-suszając wcale, bo powinny być wilgotne.

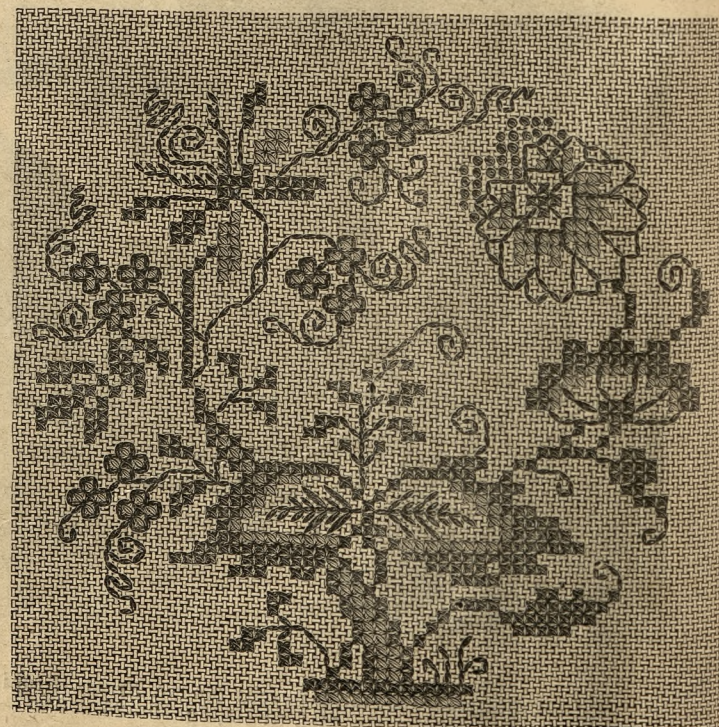
L. C.

Obiad na Niedzielę.

1. Chłodnik.
2. Kotlety baranie z sosem „Soubise“.
3. Kapusta włoska faszerowana.
4. Bekasy z różną z kompotem z wisien.
5. Krem malinowy.

Uwaga.

Tablica krojów objaśniająca wzory ubiorów i robót w Nr 32 Bluszczu służy też do numeru dzisiejszego.



Nr 45. Haft do serwetki Nr 39 (wielkość oryginalna).